

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 23 (1226) ROK X XIV

7 CZERWCA 1981 R.

CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: O

Zjednoczeniu Patriotycznym „Grunwald” ■ O prof. Włodzimierzu Sedlaku ■ Rozmowa z Mirosławem Szonertem ■ Literatura ■ Listy ■ Recenzje ■ Felietony



28 maja w Warszawie zmarł kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski. N/z: kardynał Stefan Wyszyński i papież Jan Paweł II na placu Zwycięstwa w Warszawie podczas wizyty Ojca św. w Polsce w czerwcu 1979 r.

Droży Bracia i Siostry!

(...) Pragnę, abyście wiedzieli, że w tej godzinie żałoby, w godzinie smutku i bólu, ale także większej jeszcze nadziei i ufności, pragnę być z Wami i osobiście oddać księdzu Prymasowi ostatnią posługę. Bóg zdecydował inaczej. Niech będzie błogosławione jego święte imię. Łączę się z Wami w cierpieniu i modlitwie, w przyjęciu woli Boga i w nadziei. (...)

Pozwólcie, że w obecnym momencie przytoczę tylko słowa, które wypowiedziałem w warszawskiej katedrze w czasie mojej pielgrzymki do ojczyzny:

„Ksiądz Prymas stał się szczególnym... zwornikiem. Zwornik jest tym, co tworzy sklepienie i odzwierciedla siłę fundamentu budowli. Ksiądz Prymas odzwierciedla siłę fundamentu tego Kościoła, którym jest Jezus Chrystus. Na tym polega jego własna siła. Ksiądz Prymas uczy od trzydziestu kilku lat, że te siły zawdzięcza Maryi, Matce Chrystusa. Wszyscy o tym dobrze wiemy, że dzięki Maryi można najpełniej odzwierciedlić siłę tego fundamentu, którym jest Chrystus, że dzięki Maryi można najskuteczniej stawiać się zwornikiem Kościoła.

Tego uczę życie i posługiwanie Prymasa Polski.

Jest on zwornikiem Kościoła warszawskiego. I jest zwornikiem całego Kościoła w Polsce. Na tym polega jego opatrnościowa misja od trzydziestu z górą lat. Pragnę temu dać wyraz u początku mojej pielgrzymki tu, w stolicy Polski i pragnę za to jeszcze raz, wraz z całym Kościołem i narodem podziękować Trójcy Przenajświętszej”. (...)

Droży Bracia i Siostry!

Nawiązując do czcigodnej tradycji liturgicznej Kościoła, która poprzez katolicki niejaką przedłuża i rozciąga na trzydzieści dni, proszę was, aby żałoba po śmierci nieodwołalnego Prymasa tryszczała trwałą w Kościele polskim przez taki właśnie czas. Niech te trzydzieści dni będzie w Polsce okresem szczególnej modlitwy, pokoru, skupienia i refleksji. Módlmy się. Módlmy się jeden za drugim. Połóżcie Boga, dusze święte pamięci kardynała Stefana. Prymasa Polski. Módlcie się za ojczyznę, za Kościół w niej, za cały Kościół, za świat. Módlcie się za mnie, niegodnego sługę Chrystusa i jego widzialnego zastępcę. A przedmiot Waszej modlitwy uczynicie przedmiotem refleksji, głębokiej narodowej medytacji. Szczególnym przedmiotem takiej medytacji uczynicie postać niezapomnianego Prymasa, świętej pamięci kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jego osobę. Jego naukę. Jego rolę w jakże trudnym okresie naszej historii. To wszystko uczynicie przedmiotem medytacji i podziękowań do wielkiej i trudnej, dziedziczonej przeszłości, do wielkiej historii, na którym on, kardynał Stefan, Prymas Polski, dobry pasterz wyśnawiał trwał, niezatarte piętno. (...)

Błogosławie Was w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

(Z HOMILII JANA PAWEŁA II)

Działamy od dłuższego już czasu nad kształtowaniem takich stosunków z Kościołem, żeby dobrze służyły jednemu naszemu społeczeństwu, w imię tych celów, które służą pomyślnemu rozwojowi naszego kraju, które umacniają wszystkie czynniki jego bezpieczeństwa. Doniosłą rolę w tym procesie odgrywał zmarły ksiądz kardynał Stefan Wyszyński. Wyrósł on, jak wiadomo, z innej epoki ustrojowej. Jego wielkość polegała przede wszystkim na tym, że trafnie odczytywał znaki idącego czasu. Poszukiwał miejsca Kościoła w naszej złożonej rzeczywistości, poszukiwał obszarów stygnięć dla zgody narodowej, do kontaktów z ludowym państwem.

Mogłem się przekonać w czasie wielu osobistych z nim rozmów, że prymas doskonale rozumiał, iż partii naszej przypadła historyczna misja w odrodzeniu państwa, w utrwaleniu polskiej państwowości, w umacnianiu gwarancji jej niepodległego bytu. Doceniał zasługi partii, chociaż był niejednokrotnie jej surowym krytykiem, krytykiem różnych aspektów funkcjonowania naszego państwa. Odszedł więc nie tylko wielki kapłan, nad którego strata boleje Kościół, ale odszedł również wybitny obywatel, człowiek porozumienia Kościoła z socjalistycznym państwem. Nie ulega wątpliwości, że wejście on do historii. Potrafił się wnieść ponad różne osobiste krzywdy, gorzkie doświadczenia i postawić na pierwszym miejscu interes narodu i jego państwa. Przeżywał bardzo te wszystkie ataki, które kierowano na niego jako na człowieka dialogu, człowieka porozumienia z państwem. Czynił to ci, którzy źle żyją socjalizmowi i Polsce Ludowej.

Pamiętam takie rozmowy z listopada ub. roku i z końca lutego br., kiedy kardynał Wyszyński ostro reagował na paskwile, które zamieszczała paryska „Kultura”. Był przekonany, że źródeł ich należy upatrywać tutaj w kraju i podkreślał, że nie ma takiej siły, która może go sprowadzić z tej drogi, którą obrał, która mogłaby odwieść go od wypełniania do końca jego historycznej misji.

Jestem osobliwie przekonany, że nasza polityka wyznaniowa — jej trwałostki zademonstrowaliśmy na VI Plenum KC oraz w kolejnych oświadczeniach — przynosi dostatecznie dużo powodów, które i następów prymasa skłaniają bada ku temu, żeby kontynuować zapoczątkowaną przez Stefana Wyszyńskiego linię dialogu, porozumienia, kontaktów z państwem. Będziemy ze swojej strony ze wszelkich miar temu sprzyjać.

STANISŁAW KANIA
(z wystąpienia w ZM „Ursus”)

[TWÓRCY 81] CZYM NAS KARMI PLASTYKA?

Gustaw Romanowski

Znamy te argumenty, które podnoszone bywały w ostatnich latach i które słyszymy także nadal, że środowisko plastyczne jest największym środowiskiem artystycznym, ponieważ statystyczna ilość jego członków — a więc członków ZPAP z legitymacją w kieszeni — jest bezapelacyjnie największa. Daleko w tyle — w znaczeniu ilościowym — są literaci ze swoim ZLP, daleko realizatorzy filmowi, artyści scen, kompozytorzy i tacy. Tamci bowiem zbrani wszyscy razem ledwie zrównoważiliby pokroju i ilościowo nominalnych twórców uprawianych do używania tytułu artysty plastyka.

Ale to podkreślanie wielkości środowiska — użyteczne przy reali-

waniu interesów zawodowych i bytowych — zawodzi zupełnie przy określaniu czystej rangi artystycznej największej nawet grupy ludzi z legitymacją ZPAP. Legitymacja nie nobilituje nikogo jako artysty, choć się tak może komuś wydawać, legitymacja nie czyni z każdego jej posiadacza twórcę i ta — myśl pewnie legła u podstaw inicjatywy wystawiennej w Łodzi, nazwanej hasłowo „Twórcy 81” Majowa kawałkada wystaw wielkich dużych i małych ma teraz także wykazać, że nie tylko długa lista zetpeapowskiej przynależności ale i wielkość dorobku i ilość dzieł sytuuje łódzkie śro-

dowisko plastyczne na czele ruchu artystycznego w mieście. I że jest to pozycja trwała, mocna i ugruntowana w historii.

II

Mówienie o historii plastyki artystycznej w Łodzi od wielu już lat zaokrąglą się stereotypami o latach trzydziestych i grupie „a.r.” rzadziej już przypominającą ważną dla polskiej kultury pozycję Karola Hillera, Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro — filary polskiej

Dalszy ciąg na str. 9

Konrad Frejdlach

SZTUKA OD ŚWIĘTA

Raz w roku, z okazji Dnia Dziecka, trafia na łamy prasy, do radia i telewizji problem sztuki dla najmłodszych, odkurzany rocznicowo od zapomnienia. Pomimo alarmujących głosów pedagogów, artystów i dziennikarzy, pomimo rozpaczliwych nawoływań rodziców, którzy nie mogą zdobyć dla swoich pociech najprostszej książeczki z obrazkami, sytuacja w tej dziedzinie nie zmienia się od lat, a jeżeli już, to na gorzej. Nawet mało wiarygodne dane Głównego Urzędu Statystycznego wskazują, że mamy do czynienia z prawdziwą katastrofą. W ciągu dwudziestolecia liczba tytułów literatury pięknej dla dzieci i młodzieży zmalała o blisko 40 proc., zmniejszyła się także ogólna ich objętość, a tylko globalny nakład utrzymał się na tym samym poziomie. Jest to oczywisty krok wstecz, zważywszy na przyrost

ludności w tym czasie. Nie wiem zresztą, czy wypada rozdzierać szaty z powodu braku lektur dla najmłodszych, gdy jednocześnie zdobyte zwykłego elementarza nastrożają nie małe trudności sygnalizujące kryzys kolejny: w dziedzinie podręczników szkolnych. Jest to kryzys znacznie groźniejszy, niż wyniszczenie gospodarcze, którego świadkami jesteśmy w ostatnich miesiącach, gdyż wzrost zagraża już jestestwu narodowemu.

W tej sytuacji organizowane po raz piąty Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu jest żalonym listkiem figowym, który nie tyle osłania, ile właśnie demaskuje wstydlivy problem. Można wypisywać wspaniałe i słuszne hasła: SZTUKA POMOCĄ W ROZUMIENIU ŚWIATA I ŚWIATA — WARTOŚCI W ŚWIECIE DZIECKA I W ŚWIECIE SZTUKI, ale cóż z tego, gdy standardy spłowiły, a i drzewce nadgrzyły korniki. Można zapewnić sobie wysokie protektoraty Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Ministerstwa Oświaty i Wychowania, ale to także okaże się sztydem, gdyż ani jeden

zainteresowany minister nie przybył, przysyłając urzędników trzeciego garnituru. Nabrali także wody w usta prasa — poza lokalną, poznańską, towarzyszącą Biennale życzliwie od lat. Na tegorocznej imprezie legła zresztą cieniem dwudziesta piąta rocznica krwawych Wypadków Poznańskich, o których wreszcie wolno mówić po ćwierćwieczu milczenia. W pobliżu festiwalowego centrum, na placu Adama Mickiewicza, świeże wiatraków kwiatów w miejscu, gdzie stanie upamiętniający tamta tragedię pomnik „Jedność”.

Pruski zamek cesarski, gdzie mieści się dziś Pałac Kultury, obwieszony jest flagami i transparentami ze znacznym Biennale w postaci wiatraczka, na którego skrzydłach rozpoznaje można taśmę filmową, pacynkę, otwartą książkę i głośnik radiowy. Interdyscyplinarny charakter imprezy jest naderazem przyłączającym artystów wielu dziedzin — sztuki, ale jest także jej słabością, gdyż wszystkie dzieła się symulanicznie zorganizowane już po raz ósmy konfrontacje teatralne VII Ogólnopolskiej Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży, przegląd widowisk telewizyjnych, wystawa książek

Dalszy ciąg na str. 10

Jerzy Kisson-Jaszczyński

ŻYĆ NA PROWINCJI

Mija sześć lat od chwili, kiedy po tyluż wiekach istnienia zlikwidowano w Polsce powiaty. Szóstą rocznicą nowego podziału administracyjnego i powstania nowych województw nie jest okazja do jubileuszu. Do medytacji na pewno. Wielu twierdzi, że narodziny nowych województw miały na celu poprawienie samopoczucia ludzi mieszkających poniżej poprzednich, starych województw — w powiatach. I może nie należy traktować tego jako anegdoty...

Spojrzenie na administracyjną mapę kraju nieodparcie rodzi wolanie: nadrobiono tego jak księstw i księstewek, powstały „kiszki”, a nie funkcjonalne organy administracyjno-gospodarcze. Widać, toczyły się przetargi lokalnych, a wtedy w centrach moich patriotów: „i jeszcze Łódź”, „i jeszcze Ostrołęka”, „i jeszcze Ciechanów”... I Skierniewice prawie pod Warszawą. I zdecydo-

wanie pod Łodzią Tuszyń — do piotrkowskiego, choć nie po drodze, choć wbrew zdrowemu rozsądkowi...

Publicyści, a i czasami bywało, że i politycy, już przed latem 1980 roku wyrażali krytyczne sądy o ostatnim, z 1975 roku podziale administracyjnym. Piotrkowianin Kowalski nie ma obiektyw wobec faktu, że osiem wieków liczący Piotrków Trybunalski, ośmi faktyczna stolica Korony i Litwy, także siedziba najwyższego sądu Rzeczypospolitej — Trybunału Koronnego, a też stolica guberni obejmującej Łódź, Częstochowę i Sosnowiec, stał się siedzibą władz nowo powołanego województwa piotrkowskiego. Traktuje on to raczej jako dziełową sprawiedliwość i danie szansy. Gotów więc Putramentowi, Machekowi, czy generałowi Ziętkowi ripostować: wy tak z wyżyn Warszawy, Krakowa, Katowic, czy innych metropolii!

Dalszy ciąg na str. 4

Ryszard Binkowski

HODOWLA FORSY

Od wiosny do późnej jesieni lato bez miłosierdzia. Po wsiach mówiono, że Bóg karze chłopów za uległość, a rządów za oszustwa, kłamstwa i sobiepaństwo. Jakby na przekór bezduszności władzy i ustawicznemu, bezlitosnemu atakowi przyrody, robotnicy Wybrzeża rozpalili nad krajem gwiazdę nadziei. Ale nad wsią polską nadal wisiło niebo ciężkie i czarne, nieprzychylnie, z którego lały się strugi wody. Nowe władze pragnące naprawić szkody wyrządzone

przez żywioł, pośpieszyły z pomocą finansową dla najbardziej dotkniętych województw. Straty były tak znaczne, że niebawem w PZU zabrakło likwidatorów. Tym bardziej, że z prośbą o pomoc zwrócili się także wojewodowie z terenów położonych nad niewielkimi rzeczkami, gdzie skutki opadów również były widoczne. Z kieszy państwa popłynęły szczerze pieniądze, między innymi do województwa skierniewickiego. Nikt nie przewidywał, że 30 mln zł,

które rzucono do gminy Bielawy, stanie się przysłówową kością niezgody. Razem z kłesłą potopu przyszedł pomór na sołtysów. W gminie „wymieniono” ośmiu sołtysów.

Wieś Sobota w gm. Bielawy, przypominająca swymi uliczkami, rynkiem i kościołami miasteczko, albo dużą osadę, w zeszłym roku straciła wiele ze swej malowniczości. Położona na lewym stoku doliny Bzury, naprzeciw ujścia Mrogi, znacznie ucierpiała

Dalszy ciąg na str. 5

Wokół „Katowickiego Forum Partyjnego”

15 maja br. grupa członków partii określająca się jako „Katowickie Forum Partyjne” przy KW PZPR, opracowała swoją „DEKLARACJĘ” oraz rezolucje „W sprawach partii”, „W sprawie zamazywania rzeczywistego oblicza i istoty kontrrewolucji” i „O środkach masowego przekazu”. Materiały te opublikowane zostały ostatnio przez „Głos Robotniczy”. Platforma „Katowickiego Forum Partyjnego” oceniona została zdecydowanie negatywnie przez wiele organizacji partyjnych w kraju.

OSWIADCZENIE
ŁÓDZKICH DELEGATÓW
NA IX NADZWYCZAJNY
ZJAZD PZPR

W związku z opublikowaną, prowokacyjną Deklaracją Katowickiego Forum Partyjnego stwierdzamy:

1. „Deklaracja” jest wyrazem pełnego niezrozumienia przyczyn kryzysu politycznego, społecznego i gospodarczego.
2. Odbieramy intencje autorów jako próbę powrotu do tego, co skompromitowane w przeszłości.

W hallu Dworca Głównego wita podróżnych pokazna, szklana skarbonka. Obok niej — nieduża wystawa zdjęć sprzed 25 lat. Wkrótce oko przybysza wyławia okolicznościowe plakaty i znaczki w kłapach, notatki w tutejszych gazetach... To najbardziej widome znaki, że od obchodów rocznicy Poznańskiego Czerwca dzieli tylko trzy tygodnie.

W siedzibie MKZ NSZZ „Solidarność” działa już Biuro Obchodów. Sprzedaje się tu sztuczne „cegielki” (fotografie makiet pomnika) Ludzie przynoszą odgrzebane z kurzu fotografie, wspomnienia. Deklarują pomoc dla Społecznego Komitetu Obchodów. Jeden — ogólniejszy — komitet działa przy MKZ. Drugi — o podobnej nazwie — przygotowuje obchody na terenie Zakładów Cegielskiego (HCP). Trzeciemu komitetowi dodano w nazwie określenie „Honorowy”. Na jego liście — wśród 70 nazwisk — wielu wybitnych Polaków.

W „Cegielskim” właśnie skoncentrują się główne uroczystości I dnia (sobota, 27 czerwca). Rozpoczyna się od odsłonięcia dwu pamią-

PO LATACH
MILCZENIA

kowych tablic: przy bramie Fabryki Lokomotyw i Wagonów (której załoga zainicjowała protest) oraz przy bramie głównej, gdzie znajduje się napis: „Stąd po raz pierwszy upominano się o prawo do ludzkiej godności — w 25 rocznicę wydarzeń czerwcowych — Cegielszczacy”.

Poświęcone zostaną sztandary MKZ „Solidarność” Wielkopolska i „Solidarność” w Zakładach Cegielskiego. Odprawiona będzie msza polowa z udziałem ks. kardynała F. Macharskiego i arcybiskupa poznańskiego Jerzego Stroby.

Tego samego dnia, przed południem, w auli Uniwersytetu Adama Mickiewicza odbędzie się sesja naukowa o Czerwcu 56. Towarzyszy jej będą wystawy pamiątek, zdjęć i dokumentów. Warto dodać, że Wydawnictwo Poznańskie przygotowuje na obchody przeszło 300-stronicową monografię pt. „Poznański Czerwiec 1956”. Złożą się na nią m.in. artykuły znanych historyków i socjologów, kalendarium wypadków i procesów oraz wspomnienia i fotografie.

W niedzielę, 28 czerwca uroczystości skupią się na placu Mickiewicza, ul. Armii Czerwonej i przyległych, gdzie przed 25 laty odbyła się potężna manifestacja. Dwa centralne punkty uroczystości, to msza koncelebrowana i odsłonięcie pomnika „JEDNOŚĆ”. Po południu planuje się odsłonięcie tablicy pamiątki 13-letniego

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

„Rozbić małą”

W Waszym tygodniku, w dniu 10 maja 1981 roku ukazał się artykuł pt. „Rozbić małą”. Jest tam napisane, że rebasec buła kłopotliwym gościem. W rzeczywistości, rebasec to człowiek, który nie dowiedział się od nikogo, jak ułożyć listy do redakcji. W związku z tym proszę o zamieszczenie tego listu w Waszym tygodniku.

I nie splamiam swoich rąk żadnymi łapówkami, bo brzydzę się takim procederem uprawiać. Cieszyłem się u swoich przełożonych szacunkiem i uznaniem, proszę sprawdzić moja opinie w milicji, to będzie miał pan inne zdanie o mnie. To, co pan napisał o mnie, nie jest zgodne z prawdą. Wyrażałem mi pan wielką krzywdę moralną. W związku z tym proszę o zamieszczenie tego listu w Waszym tygodniku.

MIKOŁAJ CZARNECKI
kierownik hali „Górnik”

Od autora: W związku z oświadczeniem o. Czarneckiego pragnę wyjaśnić, że zdanie mówiące o braniu łapówek przez kierownika hali targowej ma charakter domniemania, o czym świadczy użyte słowo „ponoć”. Informacji tej nie wyssałem jednak z palca, lecz uzyska-

łem od ludzi, którzy być może zajmują stanowisko w tej sprawie.

R. BINKOWSKI

Nawiązując do artykułu red. R. Binkowskiego („Odgłosy” nr 19) chciałbym dorzucić kilka spostrzeżeń i propozycji do sygnalizowanego tematu.

Prawdą jest, że w ostatnich miesiącach wyraźnie wzrosło zainteresowanie rolników ubożem zwierząt rzeźnych na potrzeby handlu wolnorynkowego, chociaż trudno powiedzieć, że jest to zjawisko masowe.

Z własnej obserwacji mogę stwierdzić, że z reguły o karcie uboju zwierzęcia ubiegają się ci rolnicy, którzy tradycyjnie trudnili się handlem pokatym, chłopi-robotnicy lub też posiadacze niewielkich gospodarstw rolnych. Autentyczni rolnicy, hodujący więk-

REZOLUCJA ŚRODOWISKA PRASY,
RADIO I TV

My, dziennikarze łódzkiej prasy, radio i telewizji oraz pracownicy Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego na zebraniu zwołanym z inicjatywy egzekutywy POP działających w naszym środowisku, wyrażamy głębokie zaniepokojenie i oburzenie deklaracją i rezolucjami podjętymi w dniu 15 maja br. przez grupę określającą się jako Katowickie Forum Partyjne przy KW PZPR.

Podobnie, jak członkowie partii Huty im. Lenina, traktujemy zawarte w tej deklaracji sformułowanie jako „osobistą obelgę, jako negację wszyściego, co w ruchu odnowy jest autentycznie cenne i wartościowe (...), jako dowód walki wewnętrznej, w której sięga się do chwytów brudnych i obliczonych na wewnętrzne

rozbić organizację. Jest to po prostu anonim obliczony na wielką dywersję”.

Wspomniana deklaracja i rezolucja nacechowane są totalną niewiarą w możliwość dokonania się pełnej odnowy w partii, niewiarą posuwającą się aż do stawiania pod znakiem zapytania „rzeczywistej zdolności zjazdu do przywrócenia partii jej marksistowsko-leninowskiego charakteru, zwartości szeregow, zdolności do przezwyciężenia klisze robotniczej w procesie socjalistycznego budownictwa”. Prezentowane przez autorów poglądy i metody traktujemy jako nawrót do najbardziej skompromitowanego stylu działania w życiu wewnętrznym.

Kategorycznie odrzucamy insynuację, że „zarówno prasa,

jak i radio oraz telewizja opasowane zostały przez ośrodki antypartyjne głoszące w sposób jawny poglądy prawicowo-oporunistyczne, rewizjonistyczne i liberalno-burżuazyjne”.

Wychodząc z założenia, że w dyskusji wewnątrzpartyjnej i w środkach społecznej komunikacji mogą się ścierać różne, skrajne nawet poglądy, uważamy jednocześnie, że zawsze należy je głosić w sposób otwarty i jawny, a nigdy anonimowy. W związku z tym, domagamy się publicznego ujawnienia autorów ukrytych za deklaracją i rezolucjami Katowickiego Forum Partyjnego oraz ujawnienia roli i opinii Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach w tej sprawie. Ufamy, że organizacje partyjne Śląska zajmą jednoznaczne stanowisko wobec tego problemu.

Łódź, 29 maja 1981 r.

OSWIADCZENIE POP PZPR
ODDZIAŁU
WARSZAWSKIEGO ZLP

W związku z opublikowaną deklaracją tzw. Katowickiego Forum Partyjnego przy KW PZPR w Katowicach uważamy za swój obowiązek stwierdzić co następuje:

Deklaracja ta, naszym zdaniem, jest próbą uzasadnienia potrzeby siłowej konfrontacji w naszym kraju; jest wymierzona w generalną linię partii, która dąży do rozwiązywania narosłych napięć społecznych metodami politycznymi, do dialogu, porozumienia i współpracy, zgodnie z duchem i literą porozumienia społecznego z sierpnia 1980 roku.

Deklaracja katowicka godzi więc w istotę społecznej odnowy w naszym kraju, a także w odrodzenie myśli socjalistycznej, jakie autentycznie przeżywamy.

Przypominamy więc, że demokracja przestała być gestem władzy wobec społeczeństwa i staje się rosnącą potrzebą socjalizmu.

Próby odwrócenia uwagi społecznej od kwestii odpowiedzialności za katastrofny stan gospodarki narodowej i za bezwzględna eksploatację poważnych odmów klasy robotniczej — widoczna szczególnie na Śląsku — są w istocie groźnym przejawem nacisku sił zachowawczych.

Socjalizm jest coraz silniejszy dzięki świadomości polskiego świata pracy. Rosnące życie polityczne i ferment myślowy nie jest naszym nieszczęściem, ale nadzieją i szansą.

Szukając właściwych dróg wyjścia ze społecznego nieszczęścia spotykamy się z oporem prawicy. Jest to dla członków partii rzecz zro-

zumiała. Spotykamy się jednak, zarazem, z rosnącym oporem sił biurokratycznych i technokratycznych sobiepaństwa. Groźne te przejawy może złamać tylko społeczny nacisk zrodzony z poczucia krzywdy i upośledzenia. Wbrew bowiem opinii Forum przy katowickim KW, robotnicy będący członkami władz partyjnych z Komitetem Centralnym na czele — dopiero od czasu odnowy przemawiają powszechnie, konkretnym i wolnym głosem, występują z bezkompromisową krytyką, która ciągle istnieje w partii i w państwie. Ich głosy, ich postawy, przyczyniają się do przede wszystkim do odzyskiwania przez nas wiarygodności. Dlatego próby anachronicznego etykietowania ludzi, tworzenie fikcyjnych i szkodliwych podziałów muszą zakończyć się niepowodzeniem. Równocześnie jednak stanowią one swoistą retydywę przeżytych przez polski socjalizm błędów i wynaturzeń dogmatycznych i sekciarskich, które doprowadzały niejednokrotnie do poróżnienia partii ze społeczeństwem. W rezultacie kończyło się to z reguły zahamowaniem tendencji demokratycznych. Taki był mechanizm przygotowywania każdego niemal kryzysu, począwszy od próby sterylizowania partii i społeczeństwa widmem „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” w 1948 roku.

Uważamy, że deklaracja katowickiego Forum przy KW jest znamennym sygnałem.

Najwyższy czas dla ludzi odpowiedzialnie myślących, aby zrozumieć nagłą potrzebę konkretnego oraz odważnego działania.

Nie można przechodzić obojętnie obok przejawów zaślepienia, egoizmu i prywaty.

Nie można dopuścić do zagrożenia socjalizmu i jego demokratycznej odnowy.

EGZEKUTYWA POP PZPR
PRZY ODDZIALE WARSZAWSKIM ZLP

KRONIKA
KULTURALNA

W czwartek, 28 maja, odbyły się w Łodzi wojewódzkie uroczystości związane z Dniem Działacza Kultury. Centralnym punktem uroczystości było przekazanie nowego gmachu przy ul. Pięknej dla VI Rejonowej Biblioteki Publicznej. Na uroczystości otwarcia wręczył nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi Medal Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Medal Wydziału Kultury i Sztuki otrzymała Izabela Nagórka, były wieloletni prezes Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Łodzi, obecnie honorowy prezes tego Stowarzyszenia. Tego samego dnia, wieczorem, w Teatrze Wielkim wręczono Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury, Honorowe Odznaki m. Łodzi oraz

nagrody pieniężne dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Nagrodę ministra kultury i sztuki otrzymał Zbigniew Hauke, zaś dyplom honorowy otrzymał: Teresa Kłacka-Wojcik i Sławomir Mazurkiewicz.

W salach warszawskiej „Zachęty”, 25 maja, otwarto IX Ogólnopolską Wystawę Grafiki pn. „Emocja — racja — fakt”. Na wystawę wzięło 337 prac 94 autorów. Że jury pod przewodnictwem Aleksandra Wojciechowskiego przyznało Grand Prix łódzianinowi — Stanisławowi Fijałkowskiemu. Nagrodę honorową otrzymała Halina Chrostowska z Warszawy.

Do Łodzi przyjechała Ewa Demarczyk. Artystka, która od lat nie śpiewała w naszym mieście,

będzie występować do 13 czerwca w Teatrze Nowym z koncertem, na który złożyła się ostatnio nagrana przez nią utwory. Program jest bogaty i pozwoli słuchaczom na zapoznanie się z wieloletnim doświadczeniem artystycznym.

Bilety na koncerty można kupić w Stowarzyszeniu Artystycznym w Łodzi, ul. Moniuszki 1a oraz w PPT „Turysta”, ul. Piotrkowska 3.



Foto: Z. Łagodzki

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASINSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BIAŁEJEWSKI, KONRAD FREIDICH, MAŁGORZATA GOLIČKA, JACER INDEKAR, RYSZARD UCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAROWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHROŚCIEŃSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW OLIŚKOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMANSKI, GIANC, JERZY WII MANSKI, IUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Co miesiąc, w środę, w sali odczytowej Biblioteki im. Waryńskiego, odbywa się posiedzenie Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika. Na jednym z ostatnich spotkań sala była nabitą po brzegi. Przyszli profesorowie, studenci, uczniowie szkół średnich. Lekarze, architekci i biolodzy. Obok specjalistów zasiadli hobbysci, których przyciągnęło nazwisko prelegenta. Gościem Towarzystwa był tego popołudnia prof. dr hab. Włodzimierz Sedlak, który mówił na temat „Stresującego czynnika elektromagnetycznego środowiska urbanistycznego”.

Tym czytelnikom, których nie była w stanie pomieścić niewielka sala odczytowa, a przede wszystkim tym wszystkim, których teoria profesora Sedlaka skłania do myślenia, do poszukiwań i chwili zadumy nad teorią życia, dedykujemy niniejsze opracowanie.

Chciałbym się podzielić pewnymi refleksjami na marginesie problemu, który intryguje dziś świat. Problem jest interesujący zarówno z punktu widzenia inżynierii jak i medycyny. Mam tu na myśli stresujący czynnik elektromagnetycznego środowiska urbanistycznego. Pola elektromagnetyczne od stu lat zmieniają nasze środowisko, ale w sposób niewidoczny, niewyczuwalny, nieostrzegalny, ani powonieniem, ani smakiem, czy nawet w pierwszej fazie — gorszym samopoczuciem. Dopiero z biegiem czasu, kiedy nawiązują się przeżycia i inne stresowe czynniki, występują najczęściej cadykalne załamania, o którym lekarz medycyny mówi, że jest to nieswoista reakcja organizmu na działanie pól elektromagnetycznych.

Kolosy miejskie są dziś skupiskami olbrzymich mas, przetransportowanie których, z innych okolic skurupy ziemskiej, narusza statykę bryły obrotowej. Kolosy miejskie są również producentami pyłów bitumicznych, ścieranych oponami samochodów — pyłów, o których każdy dziś już wie, że są rakotwórcze. Kolosy miejskie są również ciepłowniami. Duże aglomeracje są wręcz źródłem tzw. mikrosejsmów, powodowanych przez tabor komunikacyjny i park maszynowy zakładów.

Duże miasto to także generator pól elektromagnetycznych, o których na ogół wiemy najmniej, ponieważ są niewidoczne.

Profil elektromagnetyczny miasta zależy jest w prostej linii od ilości mieszkańców. Zwrócili już na to uwagę inżynierowie telekomunikacji. Odbiór radiowo-telewizyjny w środowiskach wielkomiejskich jest bowiem utrudniony, gdyż miasto działa jako zbiorowy generator pól elektromagnetycznych, zaburzający teletransmisję.

Z punktu widzenia inżynierskiego są trzy sposoby przeciwdziałania zakłóceniom. Można zakłanować źródła emisji, czego jednak nikt nie podejmuje, bo źródła tych są tysiące. Należy do nich na przykład miejska sieć oświetleniowa, pracująca na częstotliwości 50 herców. Interesuje ona bardzo lekarzy i biologów ze względu na jej wpływ na organizm ludzki. Przed laty jeden z lekarzy niemieckich stwierdził, że niejedną zawałowięc przeżyłby, gdyby w klinice nie było sieci elektrycznej o częstotliwości 50 herców. Jest to jedno z tych źródeł, na które nie ma dziś rady w cywilizacji społeczeństw kulturalnych. Drugie źródło — sieć telefoniczna — pracująca przynajmniej w USA, na częstotliwości 250–3000 herców. Następne źródła to: radiotelefony, coraz częstsze w użytku, ułatwiające porozumienie się, używane choćby dla przywołania taksówki. Generatorami pól elektromagnetycznych są również wszystkie iskrzące urządzenia silników spalinowych, a także urządzenia oparte na indukcji elektromagnetycznej, a więc — krótko mówiąc — te urządzenia, w których są silniki. Będą to fraterki, golarki, odkurzacze, pralki, lodówki, cały nasz wielki, cywilizowany, gospodarczy kram, bez którego życie byłoby nie tylko utrudnione, ale wręcz niemożliwe.

Statystyki wskazują obecnie, że w dużych miastach świata ilość źródeł zakłóceń ulega podwojeniu, co 8–12 lat. Na Zachodzie używa się nawet terminu — hałas elektromagnetyczny. Termin to wcale nie poetycki, oddający rzeczywistość, konkretny stan rzeczy.

Skoro źródeł zakłóceń nie można zakłanować, może w takim razie konstruować mało selektywne aparaty radiowe i telewizyjne? To jednak mija się z celem, takie urządzenia tracą sens. Najprościej więc — zwiększyć moc nadawczych stacji. I tak kolo się zamyka...

Czym jest więc duże miasto dla jego mieszkańców jako obiektu biologicznego? Wielkomiejskie tło elektromagnetyczne, stanowiące zupełną degradację naturalnego środowiska geofizycznego (techniczne tło elektromagnetyczne jest tysiąc razy wyższe od naturalnego) organizm odbiera jako szum zakłócający normalną pracę żywego organizmu. Patrząc w skalę planetarnej na nasze środowisko, moglibyśmy powiedzieć, że naturalna jego charakterystyka została pokryta grubą warstwą pola elektromagnetycznego. Na tym ogólnym tle, już tysiąc razy wyższym niż 100 lat temu, szczególnie wybijają się obszary urbanistycznych kolosów. „Produkcja” pola elektromagnetycznego ma tendencję zwyżkową, wznosi się więc elektromagnetyczny mikroklimat, proporcjonalny w swoim stężeniu do wielkości miasta. Oddala się on coraz bardziej swymi cechami od środowiska, w którym kształtował się Homo sapiens. W roku 1948 działały w Europie stacje radiowe o ogólnej mocy 20 megawatów. Na Konferencji Genewskiej podano, że w 1974 roku działało już 4400 nadajników, a na następnej zgłoszono 10 000 nowych nadajników.

Człowiek jako gatunek ma najdłuższy staż ewolucyjny, bo trwający około 5 miliardów lat. Jako gatunek, wykształcał się, co prawda, w burzliwych warunkach czwartorzęd, ale progresja techniczna zmian elektromagnetycznych sięga zaledwie 100 lat wstecz! Podczas całej swej drogi rozwojowej człowiek nie zetknął się z takim środowiskiem, z jakim styka się dziś. Zdolności adaptacyjne organizmu nie nadążają za tak szalonym

tempem zmian. Przekroczenie granic tolerancji jest reżymem biologicznej katastrofy. Chodzi tu o stopień reakcji organizmu na stresor elektromagnetyczny.

Czy jednak można organizm traktować jako odbiornik pól elektromagnetycznych? Jeśli stanimy na pozycji anatomii i fizjologii, to organizm będziemy uważać co najwyżej za chemiczny czujnik elektromagnetycznych zmian w środowisku. Gdyby organizm człowieka traktować chemicznie, sprawa byłaby jasna i niegroźna. Po prostu nie należałoby przebywać w obszarze zagrożonym. Należałoby także omijać pewne obszary, aby uniknąć termicznych skutków działania mikrofal —

HOMO ELECTRONICUS I JEGO ŚWIAT

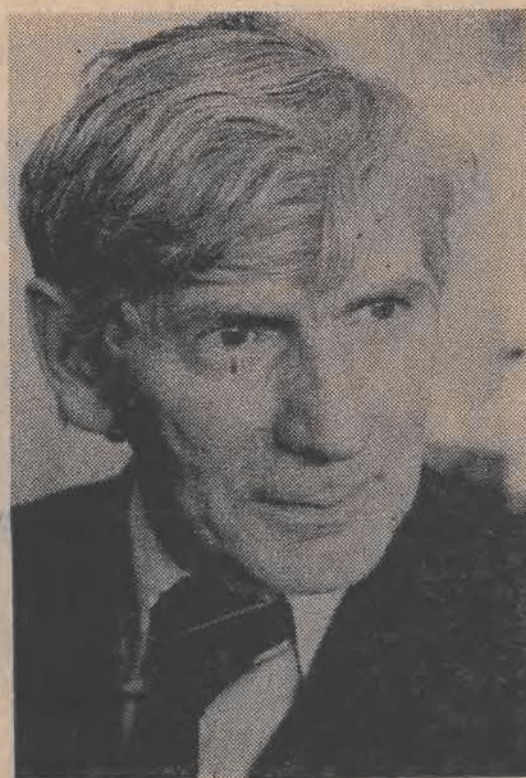


Foto: R. Łucyszyn

Prof. dr hab. Włodzimierz Sedlak jest kierownikiem Katedry i Zakładu Biologii Teoretycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jest twórcą nowego, biologicznego kierunku, który wzbudza tyle samo zachwytu co kontrowersji. Profesor proponuje nowy, bioelektroniczny model życia, komplementarny w stosunku do dotychczas obowiązującego modelu biochemicznego. Koncepcja ta nie miała dotąd precedensu w świecie naukowym i wzbudza ogromne zainteresowanie wśród uczonych z całego świata. Jako pierwszy w Polsce W. Sedlak rozpoczął również badanie nad udziałem krzemu w ewolucji najstarszych form życia i stworzył teorię o krzemowych początkach życia na ziemi. Prof. Sedlak zajmuje się również paleontologią dolnokambryjskich warstw kwarcytowych w Górach Świętokrzyskich. Zawdzięczamy mu między innymi odkrycie unikalnej fauny i flory.

z przyspieszeniem reakcji chemicznych. Jest to interpretacja najstarsza, oparta na biochemicznym modelu rozumowania, poparta racjami technicznymi. Coś tu jednak występuje barzo dziwnego. Mikrofalowe, termiczne skutki wzrostu temperatury o jeden stopień są o wiele bardziej groźne, niż podwyższenie temperatury ciała o dwa stopnie! Coś się więc nie zgadza.

(Nawasem mówiąc, biochemia, elektrochemia oraz elektrofizjologia systemu nerwowego powstały już w połowie XIX wieku, a więc przynajmniej 50 lat przedtem, zanim Hertz potwie. Jakiś doświadczalnie słynne dziś równanie elektromagnetyczne Maxwella. Starym kluczem otwiera się na ogół tylko stare zamki. Czy mówiąc o działaniu pól elektromagnetycznych na organizm można się posługiwać kluczem informacyjnym z XIX stulecia?).

Aby rozwiązać te i podobne zagadki, konieczne jest, według mnie, stworzenie nowego schematu myślenia — stworzenie nowej, twórczej idei biologicznej, opartej o najnowsze fakty, charakteryzujące masę biologiczną. Konieczne jest posługiwanie się nowym modelem myślenia oraz działania badawczego w biologii, choćby miało ono tylko walor hipotezy roboczej.

Wychodząc z modułu przestarzałego, bo z połowy XIX stulecia, pragnie się zbadać reakcje termiczne, bo wydaje się to łatwiejszą drogą do celu. Bierze się wtedy dużą gęstość mocy i fale o dużej częstotliwości. Tymczasem chodzi przecież o

wpływ wywierany na organizm przez środowisko elektromagnetyczne, charakteryzujące się niskimi mocami i minimalnymi częstotliwościami.

Badacze dawnego profilu sugerują również poszukiwania w działaniu swolnych skutków przywiązanych do określonego organu i fizjologii. Jest to postawa badawcza, charakterystyczna dla klasycznej biologii i medycyny. Tymczasem organizm nie wychodzi na spotkanie pól elektromagnetycznych poszczególnymi częściami, lecz całością. Odbiera je jako detektor, jest bowiem elektromagnetycznym urządzeniem przyrody.

Tak traktuje organizm bioelektronika. Uwzględnia ona elektroniczne własności masy jako biologicznego oscylatora. Z hipotetycznego punktu widzenia jest to pojęcie najbardziej pożądane i słuszne. Aby właściwie ocenić relację między biologicznym detektorem, a elektromagnetycznym

środowiskiem, konieczne jest wprowadzenie pojęcia rezonansu biologicznego. Jest to elektromagnetyczny klucz do życia — ale niestety — też do śmierci.

Po ogólnym przedstawieniu roli organizmu jako detektora pól, należałoby określić sposób jego działania. Jeśli praca organizmu rezonuje z częstotliwością elektromagnetycznego środowiska, wówczas następuje gwałtowne pochłanianie fali. Zahamowanie pracy układu drgającego występuje wówczas, jeśli organizm działa „nie w fazie” z rezonansową częstotliwością. W przypadku detektora następuje nie tylko techniczne wyciszenie, ale również jego rozregulowanie. Ogólnie nazywamy to nieswoistą patologią spowodowaną mikrofalami.

Pomówmy teraz o elektromagnetycznym stresorze i reagowaniu nań organizmu. Reakcja stresowa charakteryzuje się określonym przebiegiem. Pierwsza faza zaniepokojenia układu może być równoznaczna z przejściową depresją funkcjonalną. Jeśli bodziec jest zbyt słaby i długotrwały, oscylacja depresyjna może doprowadzić do akumulacji działania. W następnej fazie organizm odpornościowo mobilizuje się. Uruchamia adaptacyjne mechanizmy z pewną superatą energetyczną, możliwą do zmobilizowania nawet nieco powyżej stanu normalnego. Nadwyżka ta idzie na wzrost organizmu, albo na jego ewolucję. Po długotrwałym działaniu, lub zbyt intensywnym bodźcu, następuje utajony stan zmniejszającej się samoobrony organizmu, a po pewnym czasie gwałtowne załamanie bez poprzedzających, dostrzegalnych objawów.

Choroby występujące współcześnie, o bardzo zróżnicowanym charakterze, określamy ogólnym terminem jako choroby cywilizacyjne. Nazwa ta powstała na skutek pewnych korelacji między chorobami zwiększonej cywilizacji a występowalnością tych chorób. Ponieważ większość urządzeń technicznych łączy się z polami elektromagnetycznymi, można ten zespół chorób uważać za przeobrażony dla cywilizacji technicznej obecnych czasów.

Wśród chorób cywilizacyjnych na pierwsze miejsce wysuwają się niedomogi krążenia, spadek ciśnienia tętniczego i zawały serca, a także miażdżycę. Są to społecznie bardzo ważne problemy. Wyształcenie specjalisty jest przecież kosztowne i długie, a wielu z nich wypada z biegiem po 40-tym roku życia na skutek... miażdżycy. Mikrofały wpływają także na system emocjonalny, na układ hormonalny, na działanie układu wegetatywnego. Wśród chorób cywilizacyjnych stwierdza się coraz częściej cukrzycę. Zaburzenia hormonalne dają długonogą młodzież, nawet wbrew rasowym determinantom, jak u Japończyków. Występuje brak proporcji kończyn dolnych, skracanie tułowia, nienajlepsza wytrzymałość układu nerwowego. Obserwuje się nadmierny wzrost zużycia środków psychotropowych, proporcjonalnie do cywilizacyjnego poziomu populacji.

Mikrofały działają ponadto na system krwionośny, krwiotwórczy, na układ naczyniowy, łącznie z pracą serca. W histologii wybijają się zaburzenia tkankowej koordynacji i bezładnego wzrostu w guzie nowotworowym. Charakterystyczna jest także mała przeżywalność płodów urodzonych bez widocznych wad. Według badań, niemowlęta umierają najczęściej w trzecim miesiącu życia, zawsze w śnie. Śmierć następuje przez porażenie ośrodków oddychania w mózgu. Pewne korelacje nasuwałyby się tutaj z badaniami nad działaniem mikrofal. Wykazano, że młody organizm jest znacznie mniej odporny na działanie mikrofal, niż starszy. Działanie fal jest intensywniejsze w przypadku organizmu będącego w spoczynku, niż w ruchu, czym można wytłumaczyć śmierć we śnie. Nie jest również obojętny kierunek padania wiązek! — a pamiętajmy, że niemowlęta sypią na wznak. Również ich matki podlegały napromieniowaniu podczas ciąży. Prawdopodobnie nagła śmierć zdrowych niemowląt będziemy musieli kiedyś zaliczyć do chorób cywilizacyjnych.

Biologiczny problem elektromagnetyczności przypomina w tej chwili plac budowy, na który zwozi się materiał bez architektonicznych planów przyszłego gmachu. Wylaniają się zatem nowe problemy, a wraz z nimi pytanie: czy nie zdrowiej, taniej, szybciej i prościej byłoby zmienić model myślenia, biorąc pod uwagę elektromagnetyczne właściwości żywej substancji.

Opracowano na podstawie prelekcji prof. dr hab. Włodzimierza Sedlaka wygłoszonej w Bibliotece im. L. Waryńskiego

PYTANIA

Po prelekcji uczestnicy spotkania zadali profesorowi W. Sedlakowi wiele pytań. Oto niektóre z nich.

Pytanie: — Jestem z wykształcenia morfologiem. Z punktu widzenia biochemicznych i morfologicznych badań, każdy organizm, każda komórka, aby odpowiedzieć na daną informację, musi posiadać jakiś receptor. Pan Profesor powiedział, że organizm ludzki byłby detektorem dla fal występujących w środowisku. Jak można wyobrazić sobie człowieka jako ów receptor? Czy tym receptorem jest jakiś narząd?

Odpowiedź: — Przypuszczam, że u człowieka pole elektromagnetyczne o innej niż świetlna częstotliwość odbiera szyszynka. Wracając do pytania — i anatomii, i morfologii zawsze wychodzą z założenia, iż określony narząd spełnia określone funkcje. Dalecy jesteśmy w problematyce elektromagnetycznej od szukania narządów. Jeśli mówię: życie — organizm — człowiek, to proszę rozróżnić to, co państwo wiedzą ze szkoły o człowieku i to, czego nie wiedzą. Trzeba mianowicie uwzględnić podłoże submolekularne. Jest to nowy świat, w którym rządzi prawa kwantowe. Dla przedziału świetlnego wytworzyła przyroda system nerwowy z receptorem oka, nie wytworzyła jednak receptora poniżej i powyżej częstotliwości światła. To znaczy — w kierunku fal podczerwonych i długich radiowych nie ma receptora. Pasma zostało obcięte dla ultrafioletu, dla promieni gamma i promieni rentgena. Ale organizm nie jest „ślepy” na te bodźce. Receptcja jest jednym ze szczegółów. Proszę zauważyć, że system nerwowy, który dał początek późniejszemu receptorowi słuchu czy wzroku znajduje swój początek u gąbek, które filogenetycznie powstały przeszło miliard lat temu. Odbiór pól elektromagnetycznych nie jest związany z systemem nerwowym, na który to odbiór system nerwowy jest szczególnie wyczułony. Życie organizowało się w środowisku geochemicznym i geofizycznym, w którym była cała skala pól elektromagnetycznych. Słuszna jest fizjologia, słuszna jest anatomia, ale to wszystko posiada podłoże submolekularne.

Pytanie: — Czytałem kiedyś o roślinach, które poddano działaniu muzyki. W jednym pomieszczeniu „słuchały” muzyki łagodnej, klasycznej, a w drugim — bib-beatowej. Te ostatnie wyginęły, podczas gdy te pierwsze rozwijały się prawidłowo.

Odpowiedź: — Nie dlatego rozwijały się lepiej, że słuchały Chopina czy Szymanowskiego, albo wprawek ze szkoły muzycznej, tylko dlatego, że wszystkie tkanki zwierzęce i roślinne są piezoelektrykami. Dźwięk jest falą mechaniczną i w związku z tym nastąpiło przepolaryzowanie tkanki i przepolaryzowanie procesów metabolicznych. Akustyka kwantowa również opiera się na piezoelektrycznych właściwościach tkanek. Muszą więc być rezonansowe częstotliwości w roślinie.

Pytanie: — Może to będzie trochę naiwne pytanie, ale jestem dość odległy od tej tematyki. Ciekawi mnie jednak, podobnie jak wielu ludzi, sprawa biopórów. Czy biopórady mają wpływ na rozkładanie pola elektromagnetycznego? Jest to niewytłumaczalne zjawisko, a spotykamy się z nim m. in. u słynnego Harris'a, który podobno te biopórady wydziela i po których wielu ludzi czuje się lepiej. Czy biopórady mają wpływ na pole i czy istnieje możliwość uzyskania jakiejś tarczy ochronnej przed jego działaniem?

Odpowiedź: — Przede wszystkim chciałbym państwa wyprowadzić z obsesji biopórów. Nie jest to żaden dziw. To normalne zjawisko ustroju. Proszę podejść do swego magnetofonu lub radia i przekonać się państwo, że występują zakłócenia. Są to urządzenia elektroniczne i zbytnia bliskość człowieka powoduje szumy. Jest to właśnie wpływ biopórów. Wie o tym każdy inżynier. Wykres własnych biopórów można sfotografować, badając je przy pomocy oscylografu. Chory człowiek będzie miał inny zapis, zdrowy — inny. Czy mamy potrzebę zabezpieczenia się od biopórów innych osób? Nie widzę potrzeby ani możliwości. Musielibyśmy wówczas prowadzić życie eremitów. Żyjemy przecież w społeczeństwie, w rodzinach, w środowiskach pracy i ekranowanie się od cudzych biopórów, byłoby nonsensem. Jest to prosta droga do psychopatologii. Uznajmy biopórady za fakt normalny. Oczywiście, niektórzy ludzie mogą posiadać biopórady o wzmożonym natężeniu.

— Czym jest dla pana nauka?
— Nauka jest dla mnie chyba sprawą pewnego rodzaju pustelnictwa, do którego dążyłem już w okresie młodości, a które — o dziwo — z czasem zrealizowało mi się w zupełnie innej formie. To był zawsze jakiś eremityzm. Miałem do niego skłonności już w młodości.

— Dlatego wybrał pan powołanie kapłańskie?

— Tak. Ale nie wiedziałem wówczas jeszcze, że ten eremityzm zrealizuje mi się w nauce.

— A skąd to dążenie do eremityzmu w młodości?

— To była chyba najprymitywniejsza forma ascezy, jako swego rodzaju negacji świata. Dzisiaj już ona nie istnieje, nawet w chrześcijaństwie. Dziś, młody człowiek uśmiecha się, gdy czyta o ascezie jako o formie negacji, przekreśleniu świata. Ale jeszcze w latach dwudziestych to było bardzo silne i my byliśmy wychowani w tym kierunku. To była pierwsza faza eremityzmu, w którą byłem zaangażowany po prostu z tytułu własnej formacji. A druga faza — to było poszukiwanie własnych dróg i poszukiwanie eremityzmu nie jako odosobnionego skrawka, na którym można spokojnie żyć i medytować, ale znalezienie w nauce własnego kawałka, którego przede mną nie zajęł nikt. Jest w tym nawet pewna satysfakcja — być na polu, po którym nikt nie chodzi i tylko ja je uprawiam.

(z rozmowy z Wiktorem Osiatyńskim „Przekrój”, nr 1828)

— Pan profesor coś bada, czy jest wyłącznie teoretykiem?

— Nie wiem, co to jest według pana badanie. Jeśli tylko oglądanie „macanie”, analizowanie i opisywanie przedmiotu, to rzeczywiście nie badam. Inaczej postawiłbym sprawę, kto jest twórcą nauki, odkrywca pojedynczego faktu czy odkrywca wielkiego oraz istotnego związku między faktami? (...)

— Czyli nie ma pan zaplecza badawczego?

— Po poprzednim wyjaśnieniu — raczej eksperymentalnego. Po to, aby w mojej dziedzinie mieć „badania” na wysokim poziomie, trzeba posiadać: świetną aparaturę, ludzi i pieniądze. A ja nie mam ani ludzi, ani pieniędzy, ani urządzeń. Muszę zatem korzystać z miliardów dolarów zadeponowanych w postaci doświadczeń u innych. Czyli wykorzystywać ich wyniki eksperymentalne do moich prac teoretycznych. W ogóle, jak się nie ma warunków do biokomputerów, własnych doświadczeń, trzeba zacząć pracę nad dużą syntezą. Nie wiem, czy to drugie nie jest nawet w tej chwili ważniejsze. (...)

Ponieważ nie miałem nic do stracenia (poza życie, które i tak stracię), a do zdobycia wszystko, nad-

to do cierpienia i walki zaprawiłem mnie czas, więc czym ostatecznie ryzykuję? Pracą, która może dać efekty lub nie, jak każda praca. Taka jest moja geneza. W moim przekonaniu nie jest to loteria prawdy przyrodniczej. Ostatecznie też muszę posiadać pewność mojej idei, nie mniejszą niż inni w swojej. (...)

— Co wobec tego jest dla pana najistotniejsze w działalności naukowej?

— Dostrzegam tu dwie oceny: rozum i stronę psychiczno-ambicjonalną ludzi nauki. Rozum musi zdobywać należyte i możliwie wszechstronne wykształcenie, jeśli posiada ambicję wielkiej syntezy w nauce. Psychiczna strona pomaga w krytycznym przyjrzeniu się kolosowi nauki, czy jest rzeczywiście tak monolityczny, jak to się pragnie w człowieku mówić w szkolnym programie i popularnych wykładach. Modele naukowe są konieczne, ale nie wieczne, ulegają wyeksplorowaniu po znacznym nawet posunięciu nauki naprzód.

— Dobrze, tylko jak stwierdzić, że dana gałąź nauki można uznać za absolutnie i raz na zawsze zamkniętą?

— W którym momencie dany model został wyeksplorowany? Na tym polega cała rzecz. Byli tacy, którzy to umieli ocenić. Einstein, Darwin, Plack, małżeństwo Curie, Bohr... Jeśli się tego nie umie dostrzec w pracy naukowej, to człowiekowi zostaje już tylko dublowanie, triplowanie drobnych eksperymentalnych faktów, które po raz tysięczny potwierdzają istniejące reguły.

(z rozmowy z Krzysztofem W. Kasprzykiem, „Życie Literackie” nr 1464)

Na wszelkich poziomach organizacji biologicznej układ żywy emituje fale elektromagnetyczne w następstwie zmian potencjału elektrycznego. W skrócie będziemy to określali jako pole biologiczne. Każdy układ żywy jest otoczony i wypełniony polem biologicznym. Jest to jedna z podstawowych manifestacji życia. Materia ożywiona emituje swe pole biologiczne na zewnątrz, jednocześnie pole to bierze udział w wewnętrznej organizacji struktury chemicznej. Materia bez pola biologicznego nie jest żywa. Energetyczne, a ściślej połowe rozumienie życia wzbogaca i upraszcza jednocześnie problematykę biologiczną.

Pole biologiczne nie jest tylko rezultatem procesów życiowych. Jest ono również życiem. Do istoty życia należy nie tylko substancja chemiczna, jej struktura i funkcje, jako zespół procesów chemicznych, należy do niej również wytwarzanie pola biologicznego. Struktura pozbawiona pola biologicznego jest martwą materią, a nie życiem. Pole biologiczne jest

wynikiem procesów chemicznych dokonujących się na strukturach związków organicznych, a jednocześnie steruje prawidłowym przebiegiem tych procesów oraz odbudową struktur wymieniających ustawicznie skład atomowy. Pojęcie autokatalizy, tak często używane dla określenia życia, staje się bardziej zrozumiałe w kategoriach pola.

(Włodzimierz Sedlak „BIOELEKTRONIKA 1967—1977”, Inst. Wyd. PAX, 1979)

Czego podobnego jeszcze w nauce nie widziano. Był Homo fossilis,

HOMO ELECTRONICUS

— klucz do zrozumienia życia

PROFESOR
WŁODZIMIERZ SEDLAK
O SOBIE I O NAUCE

czyli człowiek kopalny, jest znany Homo recens, czyli człowiek współczesny, mówiono już o Homo faber, czyli wytwórcy. Nie wiadomo, gdzie powstało określenie Homo ridens, czyli śmiejący się, być może na dziedzielnicy stworzony został Homo economicus. W każdym razie nie pojawił się dotychczas żaden Homo electronicus. Wobec tego, skąd się teraz wziął i po co? Czy jest wynikiem sprawowania wymiaru masy człowieka, wynoszącej około 70 kilogramów, do wymiaru masy elektronu wyrażającej się rzędem 10^{-29} grama? Czy nie jest zbyt dużym szaleństwem — to minimalizowanie człowieka? Przypuszczenie więc, że zjeżdżamy wyimaginowaną windą w dół od masy 70 kilogramów do ułamka kilograma, w mianowniku mającego jedynie 28 zerami. Jeśliśmy rozpatrywali proporcję: jeden człowiek — jeden elektron, wtedy obawy byłyby słuszne.

Jeśli jednak zjeżdżając ową windą minimy wszystkie elektrony uruchamiane procesami metabolicznymi oraz zdelokalizowane ruchliwe elektrony struktur molekularnych, ujrzymy chmurę elektronową przelewającą się w ogólnej masie molekularnej człowieka. Co więcej, gdybyśmy „przeceźlili” tę chmurę, zatrzymując na siłę molekularne struktury, otrzymalibyśmy dynamiczny elektronowy kontur ciała człowieka. Coś w rodzaju „odmaterializowanego” człowieka. Jest to niestety tylko wyobrażeniowa sytuacja, ale odpowiadająca z pewnym prawdopodobieństwem pojęciu Homo electronicus.

Homo electronicus nie jest wyłącznie wynikiem bioelektronicznego modelu, który powstał i został rozwinięty przez analogię do urządzeń technicznych. Jest on raczej wzorcem przyrody a więc nową rzeczywistością, którą

dopiero zaczynamy odkrywać. Bliższa jego analiza może dać zupełnie inne spojrzenie na naturę materii ożywionej. Inaczej mówiąc — Homo electronicus winien się stać przedmiotem wnikliwej analizy w celu zrozumienia życia w ogóle.

Należy bowiem przypuszczać, że pewne cechy życia zostały w trakcie ewolucji w maksymalny sposób zaakcentowane w człowieku. Badanie więc w najprymitywniejszych układach biologicznych może być metodycznie błędnym krokiem. Uznając ewolucję, trzeba zgodzić się na jej nieodłączne konsekwencje.

Antropomorfizm na poziomie kwantowym nie przedstawia niebezpieczeństwa pojmowania wszystkiego na sposób wyłącznie ludzki, kwantowe bowiem podstawy są niezmiennie i wspólne dla wszystkiego, co żywe. Ich konfrontacja ze światem psychicznym człowieka, wymodelowanym w ciągu niezwykle długiego czasu filogenezy, może stać się źródłem odkrywczych inspiracji w odniesieniu do samego życia. W ten sposób świadomość, stanowiącą zagadkę biologiczną, można traktować jako pole, którego intensywne badania przyniosą ważne odkrycia wiążące się z samą naturą życia.

Przywrócenie człowiekowi rangi inspiratora w badaniach nad życiem jest przede wszystkim dowartościowaniem humanistycznych przesłanek w interpretacji działań materii ożywionej, z drugiej znów strony przenosi całą problematykę z płaszczyzny fizjologicznej do kwantowych podstaw, najbardziej istotnych w zawiązaniu akcji życia. Rzecz prosta, wyznacznikiem rozwiązania nie może być świadomość człowieka, świat

bowiem kwantowych procesów jest pozazmysłowy, co więcej — nawet niewyobrażalny. W fizyce możliwy do poznania jedynie dzięki modelowemu uproszczeniu i matematycznemu sformalizowaniu. W obrębie materii ożywionej da się on ująć jedynie w kategoriach bioelektronicznych jako interpretację życia, tym samym — człowieka. Ale wtedy zgodzić się trzeba na modelowe potraktowanie człowieka jako scalonego układu elektronicznego, zbudowanego z biokowych półprzewodników i piezoelektryków organicznych. A więc człowiek byłby funkcjonalnie rozpatrywany na najniższym poziomie — kwantowym, uniwersalnym, dla wszystkich procesów energetycznych. Dynamika człowieka? Może jest tylko złudzeniem?

Wielkość człowieka wywodzi się nie ze specyfiki rodzaju Homo, lecz z różnicy gatunkowej wyrażonej słowem sapiens. Musiał osiągnąć zdecydowaną różnicę gatunkową, by wyznaczyć granicę dzielącą człowieczeństwo od zwierzęcości. Dziś, ze zdobytą pozycją, łatwo ocenić sytuację, ale czym był pierwszy odkrywca swego człowieczeństwa, które nie był rozumiały, lecz wprowadził na właściwą ścieżkę wiodącą aż do naszych czasów? Co w nim drżało, jak nagle ocknął się człowiekiem?

Może dynamiczna kompozycja materii i antymaterii dała ten zryw albo iskra zła świata upadła w zwierzęcy krąg; może nieznany duch go zapłodnił, którego istnienie człowiek najłatwiej przyjmował; a może chodzi tylko o fizjologię i nefizjologiczne efekty sięgania szczytów intelektualnych?

Czy nie byłoby najlepiej określić to dziwnością, przeciw człowiek użył tej nazwy w stworzonej przez siebie matematyce, znalazł dziwność w fizyce kwantowej w liczbie 137, wyrażającej subtelna budowę kłui widmowych atomu. Odkryliśmy dziwność i u niego, bowiem z tym momentem przestaje się człowiek sobie dziwić. Stwierdzenie wystarcza mu za wyjaśnienie.

Rozwiązania szukamy w nieboszcznych rejonach działalności człowieka, wydaje się, że rozwiązania muszą iść w tamtym kierunku, gdyby nie ten zapowiadający się szereg ludzkich możliwości. Czy znowu nie najlepiej nazwać dziwnością oczekiwanie końca możliwości?

A może to energetyczne rzucanie się w mikrokrainowość kwantowych wymiarów kryje prawdziwą wielkość człowieka? Czy wielkość dziecka nie polega na jego prostocie? A może ten najelementarniejszy człowiek, albo lepiej — człowiek elementów, potrafi konkretnie wyjaśnić niebywałą ekspansję hominidów?

Włodzimierz Sedlak, „HOMO ELECTRONICUS” (PIW 1980).

O PROFESORZE WŁODZIMIERZU SEDLAKU MÓWIĄ:

Prof. JULIAN ALEKSANDROWICZ (ze wstępu do książki profesora Włodzimierza Sedlaka pt. „Bioelektronika, 1967—1977”).

Myliłby się ten, kto na podstawie jego dzieła stworzyłby sobie obraz profesora Sedlaka jako dyrektora ogromnego instytutu naukowego, otoczonego wieńcem asystentów żywo dyskutującego z nim na nieznanych dotychczas przyczynach Tymczasem źródłem ożywianym jego niezwykłą twórczą myśl jest chyba samotność. Może właśnie ona jest tak bezcenną wartością umożliwiającą naukową pracę. Instrumentalne wyposażenie jego warsztatu starowi przede wszystkim biblioteka. Proste półki wypełnione po sufit książkami, ułożone w sposób świadczący o intelektualnym ładzie twórcy. Długi roboczy stół na środku pokoju, zarzucony papierami, maszyna do pisania, a w kącie żelazne łóżko.

Mało kto skory jest uwierzyć, że w tak skromnym łobazorium powstają dzieła wykraczające poza naszą epokę, choć historia uczy, że wielkie odkrycia powstają w bardzo skromnych warunkach, często przypadkowo. Tak było z odkryciem insuliny przez studentów medycyny Bantinga i Besta, przypadkowo odkrył Robert Koch prątek gruźlicy, mając inne zadanie do wykonania. Potwierdza się więc porzekadło, że „szukasz Indii, a znajdziesz Amerykę”.

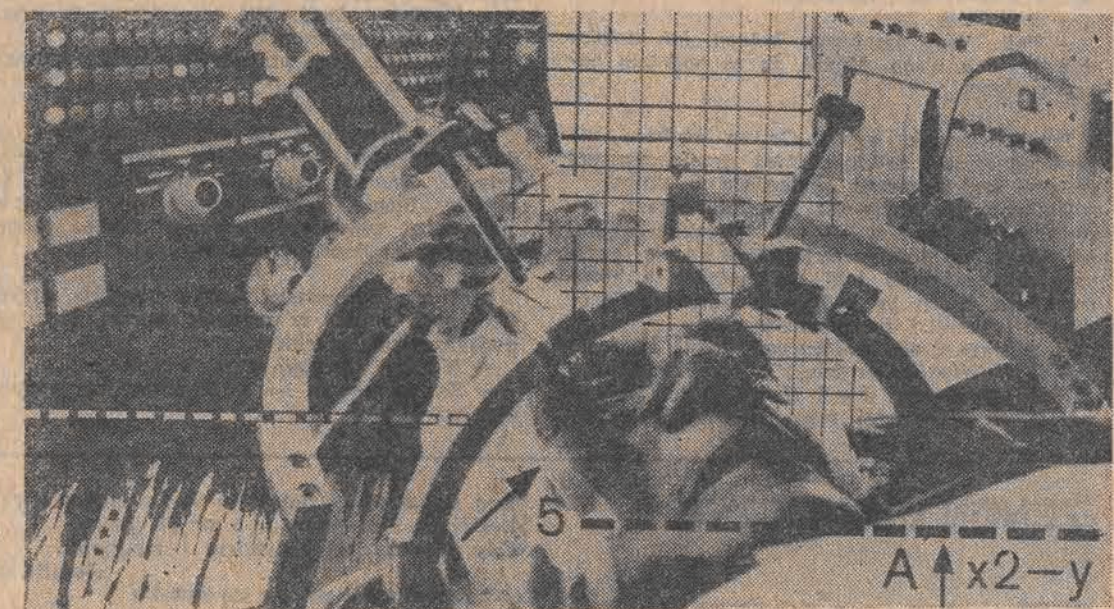
Prof. dr JADWIGA JAKUBOWSKA, przewodnicząca Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika. Postać i poglądy naukowe prof. W. Sedlaka zafascynowały mnie rok temu, na konferencji w Krakowie, na której rozpatrywano kryzys ekologiczny środowiska jako zagrożenie zdrowia

i sprawność fizycznej. Prof. Sedlak przedstawił nam cały kompleks czynników oddziałujących różnorodnie na organizm człowieka. Od tej pory chciałam przybliżyć postać prof. Sedlaka Łodzi, a zwłaszcza młodzieży, która od dawna dopominała się w naszym Towarzystwie o spotkanie z Profesorem.

Inż. J. P. (nazwisko znane redakcji): Prof. W. Sedlak jest stanowczo za mało znany w kraju. A szkoda. Znam wiele osób, dla których Profesor jest żywą legendą. Jak detektywi wyszukują — gdzie i kiedy prof. Sedlak ma odejść, jadą tam i głęboko przeżywają nawet modlitwy za niego.

Red. JACEK INDELAK, „Odgłosy”: Dla mnie prof. W. Sedlak jest jedną z największych szans nauki polskiej, szansą na przywrócenie jej utraconego miejsca w świecie. Jako humanista spodziewam się, iż teoria prof. Sedlaka doprowadzi do zbliżenia różnych dyscyplin naukowych, a zwłaszcza nauk ścisłych z humanistycznymi. Prof. W. Sedlak jest dla mnie laureatem Nagrody Nobla in spe. W jednym z wywiadów Profesor powiedział, że nie dysponuje finansami: ani zespołem ludzi, z którymi mógłby prowadzić badania To przerażające, iż państwo nie rozłożyło mecenatu nad badania-mi Profesora, nie udzieliło mu żadnej pomocy. Uważam, iż należy się z tym pośpieszyć, gdyż grozi nam sytuacja, w której na zasadzie: „Mądry Polak po szkodzi”, ktoś inny gdzieś w świecie zdyskontuje osiągnięcia Polaka.

GRAŻYNA ARTOMSKA, doktorantka prof. W. Sedlaka w Zakładzie Biologii Teoretycznej KUL: Podziwiam u Profesora jego wspaniały, syntetyczny umysł, który zawsze podejmuje próby rekonstrukcji całości widzy z jej fragmentów. Jego poszukiwania źródeł życia dotyczą przeszłości, natomiast szalenie nowatorska bioelektroniczna interpretacja życia wybiega daleko w przyszłość. Nowoczesna biologia, zdaniem Profesora, powinna łączyć paleobotanikę, paleozoologię, paleobiologię oraz współczesną biofizykę, geofizykę i geochemię. Jeśnym słowem, łączyć prehistorię ze współczesnością. Jeszcze bardziej, niż szerokość umysłu Profesora, ujęła mnie głębia jego serca. Skromny, mało wymagający dla siebie, natomiast ogromnie dużo wy-



magający od siebie, pracuje niezmiernie, prawie bez chwili odpoczynku. Twierdzi, że aby dojść do czegoś, należy odrzucić wszelkie plany i ambicje osobiste z wyjątkiem naukowych. Często przypominam sobie powiedzenie Profesora: „Nie interesuje mnie to, co ludzie o mnie mówią. Interesuje mnie raczej to, czego nie mówią”.

Red. RYSZARD KLIMCZAK, emerytowany dziennikarz:

Poznałem prof. Sedlaka w dramatycznych warunkach, dokładnie 41 lat temu. Trwała wojna i okupacja hitlerowska. Sedlak uczył wówczas polskie dzieci w szkole powszechnej, w małej miejscowości na Kieleczyźnie, jako ksiądz katecheta. Ale nie tylko. Był także nauczycielem tajnego nauczania. Przy tej okazji nawiązałem z nim kontakt, który przerodził się w trwałą i głęboką przyjaźń. Sedlak jest postacią fascynującą. Charakteryzuje go wielostronność zainteresowań, nie tylko naukowych. Ma również uzdolnienia artystyczne: maluje, pisze utwory literackie, ma niewątpliwie talent muzyczny. Jest Kolumbem, który przeciera nowe szlaki wiedzy, poeży i filozofii a przy tym człowiekiem ogromnej życzliwości i wrażliwo-

ści serca. Potrafi ekupić wokół siebie młodzież i porwać ją do pracy naukowej i społecznej. Organizował na swoim terenie gimnazjum i liceum ogólnokształcące oraz szkołę rzemiosł. Jest człowiekiem czynu, chociaż uważa się za samotnika. Nieraz zastanawiałem się nad tym, czy pasja zgłębiania tajemnicy życia nie była u Profesora czymś w rodzaju emocjonalnego imperatywu, który zrodziłby tragizm okoliczności — utrata trzech bliskich jego sercu osób. Może...

Jest wiernym oddanym i życzliwym przyjacielem. W dedykacji zamieszczonej na jednej ze swych książek napisał: „Rysku, szanuj krzem w organizmie — nie wiadomo jeszcze, co mu zawdzięczasz. Krzem jest trwały jak przyjaźń”. Sedlak jest człowiekiem niezwykle skromnym, niewiele dla siebie potrzebuje. Jak mi wiadomo, honoraria za swoje książki przeznaczył na dżon dla klasztoru na św. Krzyżu w Górach Świętokrzyskich. Dawon otrzymał imię — Maria Joanna Ufundował także statuetę Matki Boskiej Świętokrzyskiej, ku radości turystów i wiernych na św. Krzyżu.

Przygotowała do druku: MALGORZATA GOLICKA

CZYM NAS KARMI PLASTYKA?

Dalszy ciąg ze str. 1

sztuki nowoczesnej — są nie kwestionowaną chlubą historii życia artystycznego w Łodzi. To fakt oczywisty. Ale nie oni byli pierwsi na liście łódzkich twórców wnoszących coś istotnego, twórczego, wartościowego do kilkudziesięcioletnich dzieł plastyki artystycznej w tym mieście. Przed wspomnianymi już Hillerem, istotną pozycję nawet międzynarodową zdobyli malarze — bracia Samuel i Leon Hirszenbergowie oraz rzeźbiarz Henryk Gliński. W Łodzi także mieszkali i działali już na początku naszego wieku tacy uznani malarze jak Leopold Piliński i Maurycy Trebacz, a w latach międzywojennych tacy artyści jak Konstanty Mackiewicz, Jankiel Adler, Henryk Barczewski, Wincenty Brauner, Aniela Menkes, Artur Szyk, Jerzy Krause, Marek Szwarc, Stefan Wegner i wielu innych twórców o niebanalnym artystycznym dorobku.

Po II wojnie światowej z tych artystów „odliczy” się w Łodzi już niewielu. Przybyli za to inni, którzy związani byli z miastem przez jakiś czas, jak Felician Kowarski czy Władysław Daszewski, lub też na stałe już, jak Marian Jaschke, Romuald Jackiewicz, Henri Poulain, Ludwik Tyrowicz, Władysław Bojkow, Teresa Tyszkiewiczowa, Leon Ormezewski czy wreszcie Wacław Borowski. Wszyscy oni tworzyli w tym mieście to, co się nazywa środowiskiem artystycznym, nadawali mu rangę, budowali tradycję. O tym trzeba pamiętać gdy przystępujemy do inwentaryzacji dokonani środowiska w dłuższym okresie, tym bardziej zresztą, kiedy ta inwentaryzacja ma uzasadnić wysoki prestiż plastyki łódzkiej w jej historycznym rozwoju.

III

W Galerii BWA przy ul. Wólczańskiej wystawa „Twórcy 1945–1980” ma w swoim założeniu ukazanie historycznej siły artystycznej środowiska, jego przemożności i różnorodności. Wystawa o takim założeniu spełnia głównie rolę dydaktyczną. Niech się więc z niej społeczeństwo dowiedzie, że plastyka łódzka nie spada z nieba, że ma mocne i rozbudowane korzenie, że jej różnorodność współczesny kształt, to nie tylko dorobek artystyczny jej dnia dzisiejszego znany z czasowych wystaw. Taka wystawa winna bowiem dochodzić do współczesności ukazując w całej złożoności artystycznych postaw a wkład wybitnych jednostek musi być na tej drodze w miarę sumiennie zaznaczony. Czy zatem tak stało?

Wystawa prezentuje pewien, stereotyp, który od dawna aż się potęsi o przełamanie. Okres tuż powojenny reprezentują obrazy Władysława Strzemińskiego i rzeźby Katarzyny Kobro, obrazy Stefana Wegnera, Teresy Tyszkiewiczowej, grafiki Ludwika Tyrowicza. Wszystko utrzymane w dachu umiarkowanego modernizmu z wyjątkiem może jednego Strzemińskiego, którego „Powłoki słońca” niosą w sobie silne, indywidualne znamię nowej abstrakcji, tak bardzo prekursorskiej do tego wszystkiego, co miało się dzieć w sztuce w latach pięćdziesiątych. Przełom roku 1950 reprezentują na tej wystawie Lech Kunka i Stefan Krygier — dojrzały artystyczny w owym czasie uczniowie Strzemińskiego, który od tegoż 1950 roku zaczął być konsekwentnie likwidowany przez biurokrację urastającą do roli wyroczni.

I właśnie ten okres 1945–1950 — bardzo barwny i bogaty artystycznie w łódzkiej sztuce, — został pokazany na wystawie niezrozumiale ubogo. Nie ma na wystawie żadnego śladu działalności twórczej Władysława Daszewskiego, pierwszego prezesa okręgu ZPAP w powojennej historii i wybitnego scenografa i rysownika. Nie ma śladu dzieł „ności” w Łodzi Felician Kowarskiego, twórcy polskiego koloryzmu monumentalnego, wybitnego malarza i współzałożyciela Spółdzielni Plastyków, placówki bardzo zasłużonej dla krzepnięcia łódzkiego środowiska plastycznego w pierwszych powojennych latach. Nie ma przypom-

nienia choćby jednym obrazem nazwiska Leona Ormezewskiego — pierwszego dyrektora Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i jej współzałożyciela. Brakuje obrazów innych twórców o uznanych nazwiskach, którzy brali udział w kształtowaniu łódzkiego środowiska plastycznego. Nie ma śladu kolorystów Adama Rychterskiego i Adama Gerzabka, nie ma śladu Wacława Borowskiego. Ta ostatnia nieobecność szczególnie dziwi. Borowski — rodowity łódzianin, a w okresie międzywojennym profesor warszawskiej ASP, był założycielem modernistycznej grupy „Rytm”, zasłużonej wielce polskiej sztuce. Po wojnie mieszkał tylko w Łodzi i tu zmarł w 1954 r. Dlaczego zabrakło miejsca na jeden choćby jego obraz, a nie zabrakło na grafiki Ludwika Tyrowicza? Nie tłumaczy tego szczupłość pomieszczeń Galerii BWA, choć rzeczywiście warunki w których przychodził pokazywać jakąś problemową większą wystawę, są w Łodzi bliskie dnu.

Pierwszą połowę lat pięćdziesiątych reprezentują na tej wystawie obrazy Konstantego Mackiewicza i Zdzisława Głowackiego — twórców, którzy w okresie panowania w naszym kraju normatywnego realizmu, potrafili radzić sobie artystycznie z narzuconą z góry formułą. Ten sam okres reprezentują jednak również obrazy twórców nie poddających się administracyjnemu sposobowi wyznaczania reguł sztuki. — Stanisława Fijałkowskiego, Stefana Krygiera, Lecha Kunka. Szkoda tylko, że te dwie historyczne drogi wybijania się do „niepodległości w sztuce” nie zostały wyeksponowane jedna obok drugiej, na zasadzie konfrontacji, przeciwstawienia. Historia sztuki w Łodzi była dramatyczna i przy okazji takich wystaw można ten dramatyzm z zapomnienia wydobyc.

Ale i z tego okresu brakuje obrazów ówczesnego łódzianina i wielokrotnego laureata ogólnopolskich wystaw plastyki „w epoce” socrealizmu — obrazów, o których wówczas dyskutowała cała kulturalna prasa, a które były tyleż chwalone o krytykowane. Myślę o Andrzeju Strumiłło — artyście, który zawsze był w awangardzie polskiej sztuki, choć była to w jego ujęciu awangarda bardzo indywidualna, niezależna modom, odważna. Strumiłło opuścił Łódź dopiero w 1955 roku, już jako artysta z tzw. nazwiskiem. Dlaczego więc i jego obrazów zabrakło na tej wystawie?

Dobrze więc przynajmniej, że znalazło się miejsce dla obrazów Jerzego Nowosielskiego, który w drugiej połowie lat pięćdziesiątych mieszkał i nauczał w PWSSP. Wpływ Nowosielskiego na łódzką sztukę był wielki, bez tego wpływu nie pojawiłyby się pewnie potem tzw. łódzka szkoła realizmu. Dobrze się stało, że czteropiętny pobyt Nowosielskiego w Łodzi został potraktowany poważnie i z uwagą. Na wystawie obrazy Nowosielskiego tak znakomicie korespondują z dziełami Jerzego Krawczyka, Barbary Szajdzkiej, Benona Liberskiego, Wiesława Garbalińskiego, Leszka Róży, że aż prosi się o zorganizowanie w przyszłości problematki pt. „Łódzki realizm — geneza i twórcy”. Może taka wystawa pozwoliłaby przebić się do powszechniejszej świadomości prawdę, że w Łodzi na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zrodziła się najprawdziwsza szkoła artystyczna — spójna filozoficznie, jasna warsztatowo, autentyczna w swoim twórczym przesłaniu. Faktu tego nie uwzględnia dotychczas ogólnopolska historia sztuki, ukształtowana pod wpływem warszawskiej hierarchii wartości.

Ale tu znów brakuje mi na wystawie obrazów twórcy o wybitnej indywidualności, który mógłby znakomicie uzupełnić kształt łódzkiego fenomenu malarskiego tamtego okresu. Otóż brakuje tu obecności Henri Poulaina, późniejszego scenografa, też zresztą wybitnego w tej dziedzinie. Poulain zmarł półtora roku temu. Trochę więc za wcześnie żeby o nim zapominać. Nadrealistyczna wizja malarska Poulaina oddziaływała twórczo na wielu młodszych artystów łódzkiego środowiska i choćby

z tego punktu widzenia winien się on poprzez swoje dzieła na tej wystawie znaleźć.

Dobrze, że nurt realistyczny przepłata się na tej historycznej wystawie z nurtem nieprzedstawiającym. Podziały te są dziś już nieprecyzyjne, ale właśnie w historii coś wyrażały i na ile rozwoju łódzkiej sztuki, doskonale ukazują stopniowe rwanie się tradycyjnych kryteriów, przekształcanie ich w nową zupełnie jakość. Nie ma więc dziś przepaści koncepcyjnej pomiędzy fotorealistą Andrzejem Sadowskim a strukturalistą Andrzejem Łobodzińskim, nie ma też jej pomiędzy nadrealizmem Mariana Kępińskiego, a ekspresyjnym czystym prezentyzmem Andrzeja Gieragi. Ale ta przepaść w dalszym ciągu istnieje pomiędzy realizacją ostatniego już chyba konsekwentnego konstruktivisty Bolesława Utkina a spontaniczną wizją Wacława Kondka. Dobrze zatem, że ta różnorodność w łódzkiej sztuce zachowała się przez tyle lat, mimo sezonowych mód, mimo takich czy innych preferencji, sterujących konkursami, nagrodami artystycznymi, plenerami. Trzeba zadbać o to, żeby ten pluralizm stylów i postaw rozwijał się nieskrępowanie, bo tylko z takiej płaszczyzny sztuka może startować do wielkich indywidualnych dokonań.

IV

Tradycja wystaw okręgowych miała w historii łódzkiej sztuki swoje wzloty i upadki. Coroczny rytuał odsuwał od tych przeglądów twórczości środowiska artystów z tzw. ambicjami. Ci, którzy dobyli już sobie nazwisko, często tymi wystawami-almanachami gardzili. Doprowadziło to do sytuacji, kiedy na wystawach okręgowych produkowali się albo debiutanci, albo słabi artystycznie członkowie środowiska plastycznego, którym przy innej okazji nie udało się niczego wystawić. Co prawda przez wiele lat działało jury wystaw okręgowych, ale działało chyba nie najlepiej, skoro wystawy z tego okresu stały naprawdę na nudnym i smutnym poziomie.

Jest paradoksem, że od kilku lat, kiedy wystawy okręgowe organizowane są bez tego wstępnego jury, poziom jakby się poprawił. Być może jest to sprawa przypadku, takiego czy innego dopływu prac na wystawę ze strony młodych twórców, którzy akurat wkroczyli w dojrzałą twórczość, ale jest też faktem, że i tegoroczna wystawa okręgowa, choć bez rewelacji, zasługuje na uwagę z kilku punktów widzenia. Przede wszystkim pojawiło się kilka nazwisk twórców dotychczas nie uczestniczących w życiu artystycznym. To chociażby tacy twórcy jak Witold Piłkiewicz, przywracający jak gdyby malarstwu informel aktualne oblicze. Jego „Cztery pory roku” ukazują wielką wrażliwość artysty na kolor, jego grafiki budują wizję złożoną z delikatnej tkanki kresek i piam, przeciwstawiając się zupełnie aktualnej modzie figuratywnemu, dosłowności i formalizmowi typu retro. Interesujący kolorystyczny program proponuje też malarstwo Tadeusza Dutkiewicza — fakturalne, grube ale przy tym komponowane z dużą subtelnością.

Z nowych nazwisk można byłoby jeszcze wymienić dojrzałe propozycje Juliusza Marwega, Lucjana Urbanika, Idy Wierzejskiej, Józefa Jakubczyka, Władysława Kaliskiego, Jerzego Misiaka, Lidii Pindelskiej oraz psychodeliczny realizm Bożeny Markiewicz. Sądząc z pokazanych kilku obrazów, Zygmunt Kędzia wzmocnił swoją poetycką wizję malarskiej przestrzeni.

Cieszy też powrót na wystawie twórców, którzy od kilku lat byli nieobecni w życiu artystycznym. Myślę przede wszystkim o Zbigniewie Kosiniem, autorze dwóch obrazów pokazanych w Ośrodku Propagandy Sztuki, obrazów, które dalekim echem przywołują solarystyczne malarstwo Władysława Strzemińskiego i późniejsze obrazy Stefana Wegnera. Tylko, że obrazy Kosiniem, odwołujące się do owej tradycji są ciemne, mroczne, dotknięte jakąś metafizyczną aurą kłósk tego nurtu łódzkiej plastyki, który symbolizują tamte dwa nazwiska.

V

Łódź nie miała nigdy szczęścia do życia artystycznego, skupiającego się wokół galerii. Bardziej chyba symboliczne niż rzeczywiste działania galerii z Klubu Plastyków — Galerii „Adres” Ewy Partum i Galerii 120×80 Jerzego Trelińskiego, zapuściły tylko krótkie korzenie w świadomości społecznej miasta. Czas tamtych galerii dopełnił się w latach siedemdziesiątych — latach krótkotrwałych euforii i szybkiej przesilen w rejonach nowej sztuki. Polski konceptualizm był od początku ruchem anemicznym i jakby pozbawionym wiary w przetrwanie. Być może wynikało to z faktu, że do tego ruchu przeszło ze środowiska plastyków sporo ludzi o niewielkiej pomysłowości, filozoficznie niezdecydowanych, często ludzi bez samodzielnych przemysłów. To zdecydowało zapewne, że konceptualizm i sztuka mentalna, pojęciowa, poza pewną pozorną przebojowością ich nosicieli, nie osiągnęła poziomu, od

którego się zaczyna jakieś artystyczne zjawisko. Na zachodzie konceptualizm zakończył się po swoim kilkanaście lat trwającym przekształcaniu świadomości społecznej, pytaniem o dalszy ciąg sztuki. Niektórzy twórcy jak gdyby odpowiedzieli na to pytanie prostą negacją i zaprzestaniem działalności artystycznej. Inni spróbowali konceptualizacji nadać sens społeczny, odwołując się do publicystyki wyrażanej zapisem fotograficznym. Galeria „Ślad”, która od dwóch lat prowadzi dr Janusz Zagrodzki przy Domu Stowarzyszeń Twórczych, rejestruje działania łódzkich konceptualistów, głównie traktujących fotografię jako medium poznania, ale nie gardzących także zapisem video. Niewątpliwą zasługą Zagrodzkiego jest upróżnianie galerii „Ślad” jakby w kierunku myśli społecznej w nowej sztuce. Taka ewolucja zresztą przechodzą twórcy związani z „Warszawą formy filmowej” — będący ideową podporą tej galerii.

Na wystawie dokumentacyjnej pokazanej w Salonie Sztuki Współczesnej w trakcie trwania akcji „Twórcy 81” Galeria „Ślad” przedstawiła dotychczasowy swój dorobek w formie przeglądu twórców, jacy się o tę galerię otarli. Jednocześnie poszerzyła tę wystawę o pokazy autorskie, realizowane już w innym miejscu. Z tej sumy po raz pierwszy chyba ukazało się wszechstronniejsze oblicze galerii typu eksperymentalnego, laboratoryjnego w takiej skali w Łodzi. Szkoda tylko, że niedawny pożar w Domu Stowarzyszeń Twórczych stawia jakby pod znakiem zapytania dalszą aktywność galerii w jej siedzibie przy al. Kościuszki 33.

Środowisko twórców zajmujących się sztuką pojęciową nie jest w Łodzi liczne i pewnie równie nieliczne jest grono społecznych odbiorców tej sztuki. Ale krok po kroku, ten krąg będzie się poszerzał, jeśli działalność, którą teraz prowadzi m. in. Janusz Zagrodzki wyjdzie spoza opiótków galerii zamkniętych, artystówskich miejsc dla wtajemniczonych. Nowa sztuka też powinna wychodzić „na ulicę”.

Zresztą wychodzi nie raz, ale tylko wtedy, kiedy jakaś akcja, spektakl artystyczny ma szansę łatwiejszego poruszenia emocji owego widza nieprzygotowanego — człowieka „z ulicy”. Grupa „Urząd R. miasta” złożona ze studentów architektury PL pokazała taką akcję uliczną 7 maja, odwołując się do uczuć i emocji przechodniów. Akcja młodych ludzi zatytułowana „Odsłonięcie pomnika kamienicy” — chodziło tu o budynek stojący przy ul. Piotrkowskiej 164 — miała oczywiście modną ideologię ekologiczną. Ale rałowanie nie tylko środowiska przyrodniczego ale również historycznego, architektonicznego jest zadaniem ludzi wrażliwych, więc przeważnie młodych. To oni mogą protestować przeciwko beznamiętnym decyzjom administracyjnym, wrogim tak bardzo wszelkim sentymentom, to oni mogą swoimi emocjami siać wątpliwości w racjonalizowanych umysłach pokolenia, któremu już wszystko jedno, czy stoi jeszcze jeden stary dom, czy też wszystko powinno być zburzone jako miejsce pod nowy porządek.

Protest uliczny jako akt artystyczny ma w Łodzi swoją dobrą tradycję. Wystarczy przypomnieć słynną już akcję autorską Jerzego Trelińskiego w pochodzie pierwszomajowym w 1973 r. Emocjonalna interwencja „Grupy R. miasta” w banalny rytym zabieganej ulicy, daje szansę kontynuowania tej tradycji.

VI

Z wystaw indywidualnych, towarzyszących prezentacji plastycznym w ramach „Twórców 81” na żywszą uwagę zasługuje aranżacja rzeźbiarska Włodzimierza Finke w dawnej jadalni fabrykanta Poznańskiego w dzisiejszym Muzeum Historii Miasta Łodzi. Finke przy pomocy rzeźby ceramicznej zabudował przestrzeń tej nowobogackiej, wystrojonej sali, tworząc niepowtarzalną, jeżdzącą wprost skórę na grzbiecie atmosfery. Przedmioty rzeźbiarskie uformowane w duchu kultury plastycznej spod znaku pop, ale z wielką dozą ekspresji i brutalnego romantyzmu dławia się tam pod sztukatorskim nawisami eklektycznej architektury. Dławia się, ale jednocześnie rzucając wyzwanie tej filozofii na co dzień, która kształtowała łódzkie gusty w sztuce. Trzeba pomyśleć, że przesada nowobogacki blichtr „pałaców Ziemi Obiecanej” jest do dziś dla bardzo wielu łódzian stylem eleganckim i dośkołym, nobilitującym codzienność w coś światelnego. Brutalne, chropawe rzeźby Finkego, odwołujące się w kilku głównych pracach do wizerunku robotniczej fufajki, przekształcające się w twórcę „czystej sztuki” są wyzwaniem artysty wobec wciąż jeszcze stabilnej hierarchii piękna i brzydoty rodem z końca XIX wieku.

Dobrze, że Finke urządził wysta-

wę właśnie w tym lokalu. Gdyby zrobił ją w sterylnej, prostej scenarii jakiejś współczesnej galerii, efekt byłby nie ten sam. Znikłaby na pewno drapieżność działania jego rzeźby, która tu ujawnia się w całej swojej patetycznej sile. Nie wiem czy coś podobnego uda się w łódzkich szablach wystawowych szybko powtórzyć. Ta wystawa przedzie jednak do historii wydarzeń artystycznych, choć może widzieli ją znowu zbyt mało odbiorców sztuki.

VII

Nie wiem także czy atakowanie odbiorcy przy pomocy zmasowanych i trwającej ponad trzy tygodnie serii wystaw i prezentacji, odniosło swój cel artystyczny. Ponad dwadzieścia tak bardzo różnorodnych wystaw i pokazów musiałoby się uwiecznić w pamięci tylko bardzo pracowitego i mającego dużo czasu obserwatora życia plastycznego w Łodzi. Organizatorzy, czyli Wydział Kultury i Sztuki, Biuro Wystaw Artystycznych i zarząd Okręgu ZPAP w Łodzi liczyli na silne uderzenie takiej skoncentrowanej masy propozycji artystycznych. Siłę, która przynajmniej statystycznie powinna przebić się ponad inne wydarzenia z kręgu kultury, jakie odbywały się od końca kwietnia do końca maja.

Jako człowiek, który chodził na wystawy z urzędu, obejrzałem prawie wszystko, co przystawiali organizatorzy i muszę wyznać, że był to maraton trudny i męczący. Nie wiem, czy znaleźli się niezobowiązani recenzentką profesją odbiorcy, którzy zadali sobie trud obejrzenia wszystkiego w ramach akcji „Twórcy 81”. A zatem w jakimś poważnym procencie wysiłek organizatorów poszedł na marne, ponieważ nie mógł zostać skomsumowany społecznie tak, jak sobie zaplanowali.

To prawda, że w prawdziwym „deszczu” wystaw dużych, średnich i małych, prawdopodobieństwo przyswojenia choćby jednej przez przeciętnego widza była większa niż kiedyś indziej to był chyba cały pożytek dużej, bezspornie organizatorskiej roboty. Ale prawda jest też, że każda z większych choćby wystaw prosiłaby się w spokojniejszym czasie o dłuższą refleksję, wnikliwszy odbiór. Przy takiej natomiast „masowej” czas goni, nie ma więc co mówić o spokojnej analizie całego potencjału artystycznego tych prezentacji. Jest już rzeczka niewątpliwa, że środowisko plastyczne jest najbliższym „zespołem” twórczym w Łodzi wśród wszystkich artystycznych środowisk. Przyswoiciliśmy się też, że plastyka karmi nas wielką różnorodnością artystycznych propozycji, gwarantując przy okazji ich artystyczną jakość. Ale wyrażam wątpliwość czy to karmienie powinno się nagle stawać gwałtownym tuczeniem, w przekonaniu, że tylko tak potraktowany odbiorca odwdzięczy się plastyce swoją wdzięcznością i admiracją na przyszłość. Myślę, że jedna dobra wystawa w miesiącu, mogłaby łódzkiej sztuce przysporzyć wystarczająco dużo prawdziwych admiratorów, niż nawet sto wybitnych ekspozycji pokazanych raz w roku.

GUSTAW ROMANOWSKI



Foto: R. Łucyszyn

Teatr Powszechny nie budził przez ostatnie lata większych niepokojów, ani obaw o jego przyszłość.

Program zarysowany przez Romana Kłosowskiego w chwili, gdy obejmował on dyrekturę tej sceny, realizowano z większą lub mniejszą, ale konsekwencją. Pojemna formuła „teatru tematu współczesnego” pozwalała na umieszczenie w repertuarze utworów Zeromskiego i Szekspira, Tołstoja i Haszka, Goldoniego i Rollanda, Putramenta i Kopkova, Drdy i Breszana, bez lęku o zarzut wszykoizmu. Premiery odbywały się więc regularnie, prezentowane spektakle zdobywały (na ogół) uznanie krytyki, publiczność dopisywała bardziej, niż w innych teatrach, zespół zbierał nagrody i... wszyscy (przynajmniej na publicznym forum) wydawali się zadowoleni z istniejącego stanu rzeczy.

Dyrektor — w oficjalnie prezentowanej opinii zespołu — nie był satrapą ani tyranem, a jego autokratyzm wydawał się bardziej umiarkowany niż w innych szefów placówek artystycznych. Stabilny zespół nie tylko nie narzekał na dyrektora, ale — co wieny z tzw. „środowiska” — cenili go oficjalnie za działania artystyczne, lubiła go otwartość, szanowała za pryncypialność i wdzięczny był za łatwość, z jaką wybaczał różne małe i duże przewinienia i wykroczenia przeciw regulaminowi pracy oraz za życzliwą pomoc w rozstrzygnięciu małych i dużych problemów życiowych. Etylo pięknie... i oficjalnie...

Było pięknie... Aż nagle, ku większemu wobec takiej zgodności zaskoczeniu całego środowiska, ten sam stabilny zespół Teatru Powszechnego poczęł skłaniać swego dotychczasowego dyrektora, by ten zechciał ustąpić ze stanowiska. Trudno dociekać dziś przyczyn tak gwałtownej zmiany uczuć, ale zgodność kolektynu była tak pełna, że argumenty musiały wzbudzić ogólną wiarę. Zarówno wobec poprzedniej konsolidacji zespołu wokół osoby dyrektora, jak i wobec aktualnego zwracania swych własnych szeregów i pełnej jedynowładności co do tego, iż dyrektor winien odejść, lepiej byłoby mówić nie tyle o zmianie uczuć, ile o wpływie wiatru historii na bieg szybko następujących po sobie zdarzeń.

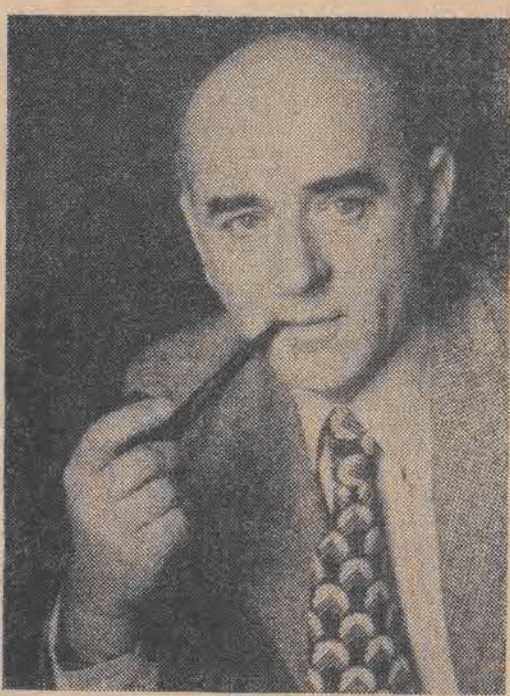
Wiatr historii zerwał wiele zasłon, odsłonił kształty, których istnienia nie podejrzewaliśmy, dał ujście uczuciom prawdziwszym niż grzeczne zadowolenie, ujawnił sprawy i stany będące przeciwieństwem sukcesu. Przydał odwagi, kazał też dostrzec cudzoziśców w deklaracjach uczuć.

Teatr Powszechny objawił się nam w nowym świetle; zabrzmieli w nim głosy, że zespół nie jest „wygrany”, że pod różnorodnością repertuaru kryje się wszykoizm treści i form, będący skutkiem braku szerszego programu i ogólnej artystycznej koncepcji, że repertuar ustawiany jest „pod dyktando”, a sam dyrektor nie nastawiony wobec zespołu, że brak źródeł prawdziwych artystycznych satysfakcji i pola, na którym swobodnie rozwijałyby się skrepowane talenty, że...

Vox populi...
— Chcemy sami decydować o losie teatru. Chcemy demokratycznego teatrem zarządzania...

— Vox populi... Powstała Rada Artystyczna.
— Chcemy nowego dyrektora. Chcemy go wszyscy, solidarnie. I żeby broń Boże nie „z teatru”.

— Vox populi...
— Nie odpowiada nam żadna z przedstawionych kandydatur. Chcemy, by był to ktoś, komu na tym teatrze będzie zależało, kto nie potraktuje go jak kłódka do celu, jak przystanku na drodze do stołecznej metropolii. Chcemy by był to ktoś, kto zna nasz teatr i zespół. Ktoś z nas.
Vox populi — vox Dei.



MIROSŁAW SZONERT: „O żadnym innym teatrze nie umiałbym powiedzieć „mój teatr”.”
Foto: R. Łucyszyn

Dyrekcję Państwowego Teatru Powszechnego w Łodzi objął od trzydziestu już lat pozostający w jego zespole aktorskim Mirosław Szonert.

— Jest pan pierwszym w Łodzi dyrektorem teatru wybranym tak demokratycznie, wolą całego zespołu...

NASZA O TEATR TROSKA...

(ROZMOWA Z MIROSŁAWEM SZONERTEM)

— Ogromnie mnie to zobowiązuje. Proszę jednak zważyć, że wybór dokonany przez zespół, którego jestem członkiem, nie przenosił na mnie żadną „drugą” stronę, ani tym bardziej na stronę przeciwną. Nie ma między nami takiego podziału. Zespół młotany różnymi uczuciami i doświadczeniami krótkim, ale ciężkim okresem swojego „interregnum” zebrał się w sobie, uświadomił i sprecyzował własne potrzeby, bólczki, dolegliwości i utraty i naprawdę chce pracować. Teatr jest dla nas zresztą nie tylko miejscem pracy. Nasza o teatr troska jest troską o dom. Jestem, jak już powiedziałem, członkiem tego zespołu i wspólnie szukaliśmy drogi wyjścia z naszego kryzysu. Dyskutowaliśmy długo i otwarcie, szukaliśmy winy i znajdowaliśmy ją nie tylko w czynnikach zewnętrznych, czy, jak to się mówi, obiektywnych, ale także w sobie, we własnej niemocy, w działaniu w ostatnich latach osłabionej aktywności. Znalazszy część winy w sobie, nabraliśmy przekonania, że tylko my sami możemy sobie pomóc, bo tylko my wiemy o sobie naprawdę wszystko. Nie odrzucałmy przedstawionych nam przez Wydział Kultury kandydatur. My po prostu nie mogliśmy ich zaakceptować. Z wielu powodów. Głównie

nie zaś dlatego, że każda z proponowanych nam osób musiałaby nas albo zbyt długo poznawać, albo po prostu narzucać nam swój program, a żadna z nich nie wydawała się posiadać programu, który satysfakcjonowałby wszystkie zainteresowane strony (tj. nas i naszą publiczność) i wychodziłby naprzeciw naszym potrzebom i odczuciom. Podejrzewaliśmy i myśleliśmy, że mieliśmy prawo do takich obaw; nawet jeśli podyktowane one były naszym przewrażliwieniem, że Teatr Powszechny dla części tych osób był w jego niedawnej sytuacji „teatrem do wzięcia”. Lub gorzej — do „wynajęcia”, na czas określony umową z władzami, a zatem z wygodnie ograniczoną za jego losy odpowiedzialnością. Ograniczoną do kilku zaledwie lat określonych w nominacji. Nie mając zatem nic przeciwko kadencyjności i zmianom na stanowisku dyrektora, chcemy troszczyć się o jego dzień dzisiejszy i o jego przyszłość.

Kolekdy zwrócili się do mnie z propozycją kierowania całością naszych wspaniałych działań. I naprawdę działamy wspólnie.

— Przyjął pan tę propozycję bez wahania?

— Ta propozycja miała kilka aspektów, zatem i moje w związku z nią uczucia były różne. Wahaniem się, bo w świetle obowiązujących przepisów jestem, personalnie i jednoosobowo odpowiedzialny za teatr, a to jest odpowiedzialność naprawdę wielką. Zdawałem też sobie sprawę z ogromu obowiązków, których nigdy przedtem nie wykonywałem, a które zajmują mnóstwo czasu i energii. Wahaniem się, bo ciągle towarzyszyła mi wizja ściany, która zawsze może się pojawić między szefem i zespołem. Ale nie zawahałem się, uświadomiwszy sobie potrzebę ratowania, wspólnego ratowania naszego wspólnego domu. Jestem od trzydziestu lat członkiem tego zespołu. O żadnym innym teatrze nie umiałbym powiedzieć „mój teatr”. Znam historię tego teatru i razem z nim przeżywałem wszystkie jej zakręty. Mam

szczerze: chciałem, ale w żadnym określonym momencie i żadnym określonym teatrze. Jestem aktorem, a w naszym zawodzie, po wielu latach uprawiania go, zawsze kiedyś pojawia się chęć poszerzenia środków własnej wypowiedzi artystycznej, każdy z nas ma jakieś wizje, koncepcje i program. Miałem je i ja. Miałem propozycję objęcia dyrekturą różnych scen, ale nie przyjmowałem ich, bo były to sceny jakoś „urządzone”, z jakimiś zespołami nie znanymi mi bliżej ludzi, z nie znaną mi i odległą uczuciowo historią warunkującą przyszłość i determinującą moje ewentualne w tych teatrach działania.

Idealem był w moich myślach o „własnym” teatrze — jak go nazywałem — „pustej sceny”, a więc teatr, w którym wraz z grupą dobrze znanych sobie ludzi, połączonych tym samym programem i identycznymi upodobaniami artystycznymi, wszystko można by zacząć od nowa. Teatr Powszechny, którego dyrekturę przyjąłem, nie jest oczywiście takim „teatrem pustej sceny”, ale jest mi bardzo bliski i uważam, że tu jest moje miejsce. Dla jasności wywodu dodam tylko, że oczywiście nie czekałem na ten teatr, i że nie mamy zamiaru burzyć tych cennych wartości, które wnieśli tu moi poprzednicy. Mam natomiast zamiar zmodyfikować, zmienić styl i metody pracy, jasno określić program artystyczny i realizować go w możliwie najsłabszej formie. Musimy wrócić do odczuć, które były na lepsze czasy spraw warsztatowych, ponownie zająć się klasyką, poszukać szlachetniejszych, nieco rozwiniętych inscenizacyjnych. Pełniej realizować zadania artystyczne i społeczne, wnieść trwalszy wkład w kulturę naszego miasta, służyć ludziom i czasem, dobrze robić dobrą robotę, być źródłem wiedzy i przeżyć, a więc rzetelnie spełniać podstawowe funkcje teatru. Wierzę, że uda nam się to zamierzenie.

— Jest pan pełen optymizmu i miło nam to stwierdzić, ale przecież i mniej miłe obowiązki ma pan przed sobą i być może za sobą. Niedawno np. zakończyły się w teatrach coroczne rozmowy dyrektorów z zespołami artystycznymi, rozmowy w czasie których przedłuża się, bądź też wypowiada umowy o pracę. Jak przebiegły one w Teatrze Powszechnym? Jak pan, wieloletni członek zespołu aktorskiego, rozmawiał ze swoimi dotychczasowymi kolegami, a obecnie podwładnymi?

— Podwładni nie przestają być kolegami. Rozmawialiśmy więc jak kolekdy, tyle tylko, że ja czułem na sobie obowiązek dyrektora, który został nim z woli koleków i którego obdarzyli oni pełnym zaufaniem.

— Wierzy pan w demokrację w sztuce? Bo ja nie...

— Ja też nie. Natura nie rozdzieliła bowiem talentów w sposób demokratyczny. Jednym dała więcej, drugiem mniej i trzeba się z tym pogodzić. Nie wierzę w demokrację w sztuce. Nie mówię zatem o demokracji na scenie, ale o demokratycznym zarządzaniu teatrem jako instytucją — dla dobra sceny i dzieł, które mają na niej powstawać. Takiego właśnie demokratycznego zarządzania teatrem podjąłem się na prośbę zespołu, którego jestem członkiem, wraz z kolegami z Teatru Powszechnego.

— Życzę powodzenia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

Dalszy ciąg ze str. 1

dla dzieci, koncerty. Poziom wysoki, ale wszystko razem raczej rozróżniali. Nieprzypadkowo poznaliśmy prasą nazwałą ekspozycję książek — smutną wystawą. Potencjał twórcy mamy ogromny i bez przesady możemy konkurować z całym światem ale wszystko rozbija się o u-powszechnianie. Ani jednej z książek na wystawie nie można kupić w księgarni, zniknęły spod łapy w okamgnieniu i dziś tylko niektóre z nich sporadycznie w cenie. Niedostępność książki dla młodzieży na rynku jest może wyrazem wzrostu aspiracji kulturalnych Polaków, ale jest przede wszystkim groźbą dla naszej kul-

tura i tradycji. Są lektury przynależne określonej wiekowi, stanowiące kanon wychowawczy, bez których trudno mówić o ciągłości kulturowej.
Zburzenie tego kanonu, to podkopanie własnej tożsamości, prowadzące bezpośrednio do splaszczczenia duchowego. Tym, którzy rozdzielają szaty z powodu rozwydrzenia wyrostków przemieniających stado piskarzy w zbójce zaskaki, gdzie rządzi kastet i kula na łańcuchu, dedykuję płoża myśl. że jest to pochodna zawężonego uczestnictwa w kulturze młodych i najmłodszych. Deformacja ta może okazać się trwała, jeśli nadal szukać będziemy ratunku w milicyjnej pałce, zaniedbując elementarne działania wychowawcze. Rozpasanie, którego jesteśmy świadkami, jest bezpośrednim następstwem braku dostępu do kultury najmłodszych pokoleń. Zie wyposażone szkolnictwo przejmując populację z defektami, których nie jest zdolne usunąć, utrwała je tylko, a niekiedy nawet pogłębia.

SZTUKA OD ŚWIĘTA

klerek, gdyż jak powiada przysłowie: głowa muru nie przebijesz.

Nie tylko u nas. Węgier György Palasthy, którego „Krawinkel wujka Poldi” prezentowano na pokazie filmów zagranicznych, oświadczył w wywiadzie zamieszczonym w biuletynie „Biennale”:

„Na nieszczęście, wciąż rozpowszechniona jest niechęć do tworzenia filmów specjalnie przeznaczonych dla dzieci, co powoduje bójkę wysiłków powiększenia produkcji utworów rozrywkowych, wbrew rzetelnym danym statystycznym, że są one użyteczne. Te rodzaje filmów powinny być popierane, jako że mogłyby uczynić naszą produkcję filmową dużo bardziej atrakcyjną, a jesteśmy w stanie dostarczyć propozycji o większej różnorodności”.

Skąd my to znamy? Dokonano właśnie reorganizacji zespołów filmowych, powołując osiem, częściowo nowych, częściowo odnowionych kolektywów twórczych. Wbrew żądaniom części opinii środowiska filmowego nie powstał zespół zajmujący się produkcją filmów fabularnych wyłącznie dla dzieci i młodzieży. Ta kategoria obrazów przeżywa u nas od dawna regres i rzadko trafia na Biennale z braku tytułów. To, że tym razem było inaczej i w Poznaniu wyświetlono aż trzy pełnometrażowe filmy fabularne, jest spadkiem

po Międzynarodowym Roku Dziecka, na którą zresztą nasi filmowcy nie zdążyli nakręcić ani jednej pozycji. Można przewidzieć, że gdy zabraknie takiego międzynarodowego impulsu, sytuacja wróci do normy, albo się nawet pogorszy ze względu na brak środków finansowych i importowania taśmy filmowej. Straty pogłębia się, zapłaci za nie także „dorosła” kinematografia, w której obserwujemy spadek na widowni. Znowu ciśnie się pod pióro przysłowie: „Czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał”. Odzwyczajanie dzieci od chodzenia do kina już dało rezultaty w postaci systematycznego spadku frekwencji, a przecież temu spadkowi towarzyszą równolegle zaniedbania kulturowe. Jeśli bowiem dopracowaliśmy się kanonu lektur, choćby i trudno dostępnym, to w dziedzinie polskiego filmu dla dzieci i młodzieży sytuacja jest o wiele bardziej niekorzystna. Leżą odłogiem całe ogromne obszary tematyczne, zwłaszcza historyczne. Nie potrafiliśmy wyartykułować w języku filmu nawet takich bohaterów narodowych, jak: Kościuszkę, Mickiewicza czy księcia Józefa Poniatowskiego.

Sytuacja jest wręcz groźna, gdyż kurczą się nawet te działy sztuki filmowej, które dotychczas były naszą mocną stroną: krótki metraż. A przecież jeszcze do niedawna byliśmy potęgą w dziedzinie filmu animowanego i szeroko pojętego filmu edukacyjnego dla młodej widowni. Także telewizja, zaspokajająca dotąd część upodobań młodego widza własnymi realizacjami seryjnymi, zdobyła się na Biennale zaledwie na trójminutowego „Kłusownika”, więc i z tej strony grozi nam posucha. Nic więc dziwnego, że rozlegają się coraz powszechniejsze wołania o stworzenie przynajmniej redakcji scenariuszy filmów dla dzieci i młodzieży, w oparciu o którą można by w jakiejś bliżej nie określonej przyszłości przynajmniej naszkicować kanon filmoteki dla dzieci i młodzieży.

Najmniej zagrożony kryzysem wydaje się teatr dla dzieci, głównie zresztą lalkowy, bazujący na adaptacjach dzieł literatury niescenicznej. Sekundują mu teatry aktorskie, często renomowane teatry dramatyczne, posiadające zazwyczaj w swym repertuarze jedną w roku pozycję adresowaną bezpośrednio do młodej widowni. Na przeglądach w rodzaju Biennale daje się z tych zbitek repertuarowych sklecić jakąś sensowną całość, gorzej to jednak wygląda in crudo, w ośrodkach macierzystych teatrów, gdzie trudno mówić o jakiejś sensownej polityce. Nawet więc to, co wydaje się najmocniejsze, nie jest aż tak mocne, żeby było powodem do zadowolenia. Prawda o faktycznym stanie sztuki dla dzieci wychodzi beztrosko podczas biennialowych dyskusji, niestety wciąż w tym samym gronie ludzi, którzy mają świadomość nawarstwiających się od lat zaniedbań.

W ramach Biennale można dokonać przeglądu stanu posiadania w różnych dyscyplinach sztuki dla młodzieży, można pewne zjawiska nawet wypromować rozdając nagrody, które są indywidualną zachętą dla twórców podejmujących się pracy w nie docenianej, niestety, społecznie dziedzinie, można sobie wreszcie ponarzekać, ale to już niemal wszystko, co można, w ramach ogólnej niemocności. Niemocność tę pogłębia zresztą zmowa milczenia krytyki wokół zasadniczych nurtów twórczości dla dzieci. Jest to wciąż jeszcze twórczość uchodząca za wstydliwą, drugiej jej może nawet trzeciej kategorii, co nie przysparza jej moźnych sojuszników. Toteż jej pozycja społeczna jest niemal taka jak pozycja dziecka w społeczeństwie, które wszyscy pociągają i stróżują, a nikt nie chce dostrzec godnego szacunku partnera.

Przypominamy sobie o tej sztuce od święta, odkładając ją na rok do lamusa, skąd zostanie wyciągnięta na chwilę przy kolejnej okazji. Pozostawiona sama sobie ulega stopniowej deprecjacji, spychana na coraz odleglejszy margines. O społecznych skutkach tego rodzaju krótkowzrocznej polityki już pisałem, a i inni wylali całe morze atramentu.

Problemy, rzecz jasna, nie rozwiąże jedno, czy drugie biennale, konkurs, albo przegląd służący raczej opisowi stanu zstającego, niż stwarzaniu nowych sytuacji. A tylko rzeczywista rewolucja w tej

dziecinie może stworzyć inną jakość. Kompromis z rumiankami będą więc szlachetne, ale osamotnione wysiłki Wojewódzkiego Domu Kultury w Poznaniu, (który od lat stara się utworować drogę sztuce dla dzieci i młodzieży), jeśli nie zyskają sobie ostatecznego sprzymierzenia w Ministerstwie Kultury i Sztuki oraz Ministerstwie Oświaty i Wychowania, jeśli nie będą im towarzyszyły zdecydowane działania wszystkich środowisk twórczych, które może tym razem potrafią wyjść poza ramki wąskich, profesjonalnych interesów.

Powtarzamy wszyscy chętnie, że dzieci są przyszłością narodu, ale nie robimy prawie nic, aby młode generacje były z lepszego kruszcu niż my sami. Może potrzebna jest specjalna ustawa sejmowa uznająca sztukę dla dzieci i młodzieży za integralną część procesu wychowawczego? Bo hasło „Wychowanie przez sztukę” brzmiące dziś jak wyzwanie musi przyoblec się w konkretne treści. Obowiąże nas do tego poczucie odpowiedzialności za stan serc i umysłów tych, którzy dopiero uczą się wypowiadać słowa: mama i tata, pokładając w nas pełną ufność. I tego zaufania zawieść nam nie wolno, w dobre pojętym własnym interesie. To właśnie dzisiaj rozstrzygają się losy Polski za lat dziesięć czy dwadzieścia. W momencie największego kryzysu gospodarczego nie wolno nam skreślić tej inwestycji, której na imię: przyszłość naszych dzieci. Sztuka dla dzieci, przypominana od święta raz w roku, musi stać się wreszcie trwałym elementem naszego życia. W przeciwnym razie grozi nam samozagłada.

KONRAD FREJDLICH

Od redakcji:

Miło nam donieść, że na VII Ogólnopolskim Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży w ramach VII Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu, film reżysera Wojciecha Fiwickiego „Jeśli serce masz bijące” otrzymał w grupie filmów fabularnych II Nagrodę „Srebrne Koziółki” oraz Nagrodę Jury Dziecięcego. Współautorem scenariusza tego filmu jest autor powyższego artykułu.

„Przed wszystkim jestem pisarzem” — mawiał o sobie Wasyl Szukszyn, ale we wszystkich jego biogramach eksponuje się aktorski i filmowy czułość jego życia. Zresztą filmowej biografii artystycznej Szukszyna nie można oddzielić od jego pisarstwa. Jest to sytuacja bardzo podobna do zjawiska Tadeusza Konwickiego. Jego filmy mają ten sam klimat, tę samą melodię co jego proza. U Szukszyna tak samo.

SZUKSZYN

Natomiast aktorstwo to już inna para, ale i tu Wasyl Szukszyn był zjawiskiem niepowtarzalnym.

Pisząc o jego kreacjach aktorskich krytycy wymieniają cały szereg filmów — od pamietnej „Kali” czerwonej poczynając. Mnie natomiast najbardziej wbił się w pamięć mały filmowy epizod w filmie „Dziennikarz”. Nie pamiętam dziś twarzy tytułowego bohatera, bardzo miłośnicie przypominał sobie całą fabularną intrygę. Pamiętam natomiast ten króciutki epizod, kiedy stary, „podpadnięty” dziennikarz stoi załamanym na korytarzu, paląc papierosa z jakąś posępną rezygnacją — a tam w gabinecie Szeffa odbywa się nobilitacja następcy.

W tym epizodzie Szukszyn właściwie nic nie mówi. Po prostu jest — tak bezradny i wstrząsający jak ludzka przegrana.

W tym filmie Szukszyna zobaczyłem po raz pierwszy —

nie kojarzyłem go jeszcze z wcześniej wydanymi u nas o powiadaniemi. Zdziwił mnie tylko i wzruszył jako zupełnie nieznanemu aktor, który bez słowa potrafił pokazać bezradność przegranej.

Myślę, że tego epizodu nie zagrałby lepiej żaden Smok-tunowski. Bo w końcu cała, znana mi, twórczość Wasyla Szukszyna eksponuje ów mo-

dzienne myśli, dusze ogarniała niemoc, wspominali całe swoje życie. A Kolka grał.

Lecz pewnej nocy nie odezwał się dźwięk harmonii; Kolka się ożenił, przestał grać po nocach i wieś ogarnęła cisza. Opowiadanie kończy się słowami: „Jasno było we wsi. I przeraźliwie cicho”.

Proza Szukszyna, jak te melodie z harmoski Koli, wybiła ze snu, niesie refleksje, nie pozwala zasnąć w spokojny sen przy świetle księżyca.

No i teraz melodia się urwała. Ale po śmierci Szukszyna długo jeszcze brzmieć będą jego opowieści — melodie, długo jeszcze będą brzmieć, budząc nas nocą. Po prostu — Szukszyn miał ludziom wiele do powiedzenia, i umiał to wszystko powiedzieć.

Michał Szolochow napisał o Szukszynie: „Opowiedział o sprawach prostych, zwyczajnych, tak samo prosto, ściszo, niemal intymnym tonem. Stąd to gorące przyjęcie i odzew, jaki znalazła twórczość Szukszyna w sercach tysięcy czytelników...”. Także polskich czytelników. Wydany obecnie w Polsce tom opowiadań Wasyla Szukszyna — zniknął z księgarń jak klasyczny bestseller — choć czas może niezbyt sprzyjający. Ale dla prawdziwej literatury czas jest zawsze sprzyjający.

WIDOK

PROTEST

Nastał czas protestów. Dziś każdy protestuje przeciw wszystkiemu i każdemu. Jeśli ja napiszę felieton, w którym zawrę poglądy, które spotykają się ze sprzeciwem, bo nie są akurat popularne, to mogę założyć z bardzo małym ryzykiem, że się omyli, iż natychmiast posypie się lawina listów protestujących. Autorzy tych listów będą domagali się bezwzględnego opublikowania ich protestów. Redaktor Jerzy Katarasiński będzie rwał resztki włosów z głowy, wołając gromkim głosem, że gazeta nie jest z gumy i rozciągnąć się nie da, więc gdzie on to wszystko pomieści.

Mniejsza zresztą o mnie. Taki protest byłby miły memu uchu, choć nie byłby miły piśmie, bo gdzie takie protesty drukować. Mania protestowania w tym wypadku nie jest groźna. Jest ona jednak groźna ze społecznego punktu widzenia i to w zupełnie innych sprawach. Oto proszę skrytykować ostro i bezpardonowo na przykład listonoszy, dziś brzydko zwanych doręczycielami. Proszę z góry zastrzec się, że doceniam ich ciężką i trudną pracę, bo taką jest w rzeczywistości, ale mimo wszystko jestecie zdania, że nie wywiązują się oni do końca z tego, do czego ich powołało społeczeństwo. A nie jest to przecież mój wymysł, bo nie tak dawno głośna była sprawa doręczania prasy prenumeratorem do domu. Jak więc tylko skrytykujecie listonoszy zaraz posypią się protesty i to nie tylko od indywidualnych ludzi pracujących jako listonosze, ale od związków zawodowych wszelkich maści i odcieni, od dyktacji, organizacji partyjnej, młodzieżowej, a także od rodzin. I wszyscy wystąpią w obronie honoru zawodowego listonoszy. Krytykując listonoszy ten honor szargać nie wolno. Zie pracujący listonosze — nie. I tak może być w każdym przypadku. Tak jest. Kilka dni temu widziałem plik pism protestujących przeciw szkolowaniu dobrego imienia mleczarzy. Mleczarze uważają, że winni braku mleka są nie tylko oni, że winę za taki stan rzeczy ponoszą również chemicy, bo nie produkują wystarczającej ilości proszków do mycia naczyń, szklarek, czyli hutnicy szklane, bo nie ma butelek, metalowcy, bo nie ma konwii, przemysł motoryzacyjny, bo nie ma samochodów... A mnie szlag trafia, bo nie ma w sklepie mleka. Ale mleczarze są obiektywni. Oni nie zaprzeczają, że mleko w ogóle to jest i że jest go pod dostatkiem, oni tylko przyznają, że nie są w stanie tego mleka przerobić. Na szczęście krowy w tym wszystkim nie są winne. Teraz mogą więc spodziewać się protestów od mleczarzy, handlowców, kierowców, hutników szklanych i Bóg jeden wie od kogo jeszcze, włączywszy w to wojujących ateistów, którym może się nie podobać to, że używam słowa „Bóg”.

Swego czasu prezydent m. Łodzi — Józef Nie-wiadomski zażądał zwolnienia dwu panów, którzy zwinili — nie tylko jego zdaniem — w sprawie złego rozprawienia chleba przed 1 maja 1981 roku i nie tylko w tym dniu, bo kłopoty z chlebem powtarzały się u nas i powtarzają. Natychmiast zaproteściowali wszyscy pracownicy „Społem”. Jak prezydent śniał? Veto! I nie zwinili. A dyskusja o odpowiedzialności za błędy, wypaczenia, nieudolność, bezmyślność, głupotę i działanie na szkodę społeczeństwa trwa nadal. W dyskusji tej padają gromkie oskarżenia. Wola się o sprawiedliwość. Oczywiście wszyscy są święcie przekonani, że zwinili tylko E. Gierka i P. Jaroszewicz, co może dołączyli się do tego J. Szydłak, Z. Gładziński, C. reszta, czyli my wszyscy, nadal mamy dobre samopoczucie i uważamy, że jak się tamtych ukarze, to wszelkie zło zniknie z powierzchni kraju, że wszyscy natychmiast staną się niebawle mądrzy, inteligentni, doświadczeni, będą mieli wiedzę, która na nich spłynie z nieba w formie objawienia, zacząć dobrze zarządzać, handlować, pracować, poprowadzić organizację pracy, wreszcie odpowiedzialność, nikt nie będzie się bał decyzji i zapamiętuje powszechna miłość i szacunek. Protestuje przeciw takim poglądom! W końcu też mam prawo do protestu, skoro to takie teraz modne. Nie ma zgody Mości Panowie!

Poczucie odpowiedzialności, umiejętność samodzielnego życia społecznego i politycznego. Nie widzę sztuki demokracji, poszanowanie dla poglądów przeciwnika, polemizowanie przy pomocy argumentów, a nie insynuacji, nie obrażanie się na krytykę, ale próbowanie znalezienia w niej obiektywnych i społecznie uzasadnionych racji, nawet próba obrony swoich pozycji i poglądów — to wszystko nie spływa na nas z nieba. Tego trzeba się uczyć. Nawet protestować trzeba umieć.

Demokracja musi stać się trwałym elementem naszego życia społecznego i politycznego. Nie widzę innego wyjścia. Jest to nie tylko powszechne żądanie, jest to również obiektywny proces społeczny. Kto tego nie rozumie — ten nie rozumie z tego, co się wokół niego dzieje. Ale, jeśli demokracja ma stać się trwałym elementem życia — to trzeba posługiwać się nią umiejętnie, odpowiedzialnie. Wszelkie demokratyczne instrumenty i mechanizmy muszą służyć budowaniu porządku społecznego, a nie jego naruszeniu. Demokracja nie polega bowiem tylko na pełnej swobodzie nieustannego dyskusowania. Z dyskusji, z każdej dyskusji, coś musi wynikać, ku czemuś dyskutujący muszą zmierzać, do jakichś wniosków dochodzić poprzez różnicę poglądów. A mnie coraz częściej zdarza się słuchać dyskusji, z których nic nie wynika. Z niektórych protestów również. Nie tracmy czasu i energii po próżnicy. Myślenie ciągle w Polsce jest w cenie. I jest to wysoka cena. Jak na wszystkie towary deficytowe.

MARCIN RODAK

TELEWIZJA

Ludzka twarz, którą przypisuję telewizji, jest określeniem obrosłym w historii niezbyt odległą niepodległego kraju. To co było pozytywne w treści tego określenia w momencie jego narodzin potem uzyskało jednoznacznie pejoratywny cudzozyśł. Pisanie dzisiaj o „ludzkiej twarzy” jest zatem działaniem dwuznacznym. Także w odniesieniu do telewizji. Także np. w kontekście bulwersujących rezolucji Katowickiego Forum Partyjnego. Opublikowane („Sztandar Młodych” 29—31 maja) materiały Katowickiego Forum, dopełniły w sposób groźny i tak spolaryzowane poglądy polityczne ostatnich miesięcy. Telewizja, podobnie jak i prasa codzienna, ograniczyła się wobec owych materiałów do paru zdań sondażowych opinii (gazety przyniosły dodatkowo kilka deklaracji i uchwał protestujących przeciwko diagnozom Katowickiego Forum). Dla tych, którzy nie mieli w rekum wspomnianego numeru „Sztandaru Młodych”, ani tym bardziej lokalnej „Gazety Krakowskiej”, sondażowe opinie — jak je nazwał — Dziennika Telewizyjnego, musiały minąć bez echa. I ja uważam, że konferencje sprawozdawczo-wyborcze w organizacjach wojewódzkich, a potem lincowy, nadzwyczajny IX Zjazd PZPR stanowią będą kluczowy, historyczny etap posierp-

niowej Odnowy. Nie tylko w kontekście naszych wewnętrznych spraw. Ale i — może przede wszystkim — w kontekście naszych układów, zobowiązań i aspiracji międzynarodowych. Biorąc to pod uwagę, materiały Katowickiego Forum domagają się zdecydowanej oceny. Dlatego też powinniśmy oczekiwać, również od telewizji, aby przedstawiła autorów

wydarzeniami, wystawia na próbę nasze emocje, racje i myślenie o przyszłości. Śmierć księdza prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego, choć poprzedzona nieuleczalną chorobą, dokonała nieoczekiwanej wyrwy w polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej. Biografia Stefana Wyszyńskiego (opowiadał o tym także, dwukrotnie wyświetlony w ciągu o-

wszystkim Polakom uczestniczącym w transmitowanych uroczystościach pogrzebowych. W Dzienniku Telewizyjnym, tuż po transmisji, podjęto temat ciągłości dokonań prymasa i ich kontynuacji. Właściwą odpowiedź przyniesie przyszłość. I o tym myślimy patrząc na twarze tych, którzy oddawali hołd zmarłemu w katedrze św. Jana.

tragiczne. I teraz jeszcze, w kilka tygodni po tamtym wydarzeniu, film z sali radnych oglądaliśmy w emocjonalnym namiętności i ze ścisłymi gardłami. Ow film dowodnie wskazuje, iż dobra wola wszystkich obecnych w sali posiedzeń Rady mogła doprowadzić do porozumienia. Ale może nie wszystkich?

Późnym wieczorem w sobotę „Studio-2” prezentowało program-dyskusję o okolicznościach katastrofy gibraltarskiej, w której zginął generał Sikorski. Ze względu na konteksty polityczno-międzynarodowe, w których historii (Terlecki, Wapiński, Kowalski) omawiali tragiczny wypadek z lipca 1943 roku, był to program prawdziwie interesujący.

Ostatni tydzień przyniósł takich programów więcej. Zatem nie bez przyczyn, choć może jeszcze trochę na wyrost, dałem tytuł „telewizja o ludzkiej twarzy”.

P.S. W felietonie z ubiegłego tygodnia, zatytułowanym (nomen omen) „ciężko o wiarygodność”, nader złośliwy chochlik drukarski tak zamieszczał gramatyka jednego zdania. „Iz określenie „psychosocjalny rozmysł” zastawił z metodami śledczymi, a nie — jak napisano — z kryminalnym czynem.”

GRZEGORZ GAZDA

TELEWIZJA O LUDZKIEJ TWARZY

deklaracji i rezolucji katowickich, aby przedstawiła argumenty, które stoją za opublikowanymi przez Forum hasłami. Łatwe to hasła, bo pojawiały się w naszej powojennej rzeczywistości nieraz. Najwinnie sądziłem, iż należą już do przeszłości. Tym ważniejsze są argumenty. Chyba że rzeczywistość to, co nazywam ludzką twarzą należy nazwać prawdziwym oportunizmem, rewizjonizmem i liberalizmem o burżuazyjnej proweniencji. A swoją drogą, kto by mógł przypuszczać, że właśnie telewizja otrzyma taką cenzurkę! Jak widać, czas, coraz to nowymi

statnich dni, film „Legatus natus”) nierozważnie wiązała się z wszystkimi ważnymi dla naszego kraju wydarzeniami. W papieskiej homilii na uroczystościach pogrzebowych mówiło się o prymasie jako o wspólniku nie tylko budowli Kościoła, ale i narodu. Autorytet moralny, konsekwencja, a jednocześnie zracjonalizowany pogląd na sprawy Polski, jako państwa i jako narodu, nadały zmarłemu prymasowi wymiar wielkości, z której, za jego życia i uporczywej działalności, nie zawsze dawaliśmy sobie sprawę. Te właśnie racje i te emocje towarzyszyły

Innym wydarzeniem, też nierozdzielnie złączonym z historią ostatnich miesięcy, był powrót za pośrednictwem telewizji do wypadków konfliktu bydgoskiego. Ta rekonstrukcja zdarzeń wokół których emocje zostały chyba rozłożone, choć nie do końca sfinalizowane, zmusza do kilku refleksji. Nikt nie zaprzeczy, że wówczas telewizja przedstawiła konstrukt informacji daleki od prawdy. Ale i nikt nie zaprzeczy, że gdyby właśnie wówczas telewizja pokazała całej Polsce ów dramatyczny film z sali bydgoskiej Rady Narodowej, skutki mogłyby być

PORTRETY I PAMFLETY

Niedobrze... mało się mówi, mało się pisze, mało się myśli o Napoleonie. A przecież jeszcze w czasach mojego dzieciństwa w każdym domu, w każdej bibliotece... jak to w ogóle powiedzieć, czekali na Napoleona — oczywiście czekali, skrycie, wstydliwie, nie tak otwarcie, nie tak bezwstydlonie, jak stary Rzecki z „Lalki”. „Bo Bonapartych Bóg zesłał, by na świecie sprawiedliwość czynili...” Tego już nikt głośno nie mówił, ale prawie wszyscy to tajemnie myśleli.

Nawet stary komunista, który nie w bohaterów, ale w klasę robotniczą wierzył i powiedział mi — ośmioteńniemu, o środkach produkcji i wartości dodatkowej, kiedy pikałem nad potłuczonym popieliskiem cesarza, ścisnął mnie mocno za ramię i szeptał z blizszymi oczyma: „Napoleon! Napoleon! Napoleon!” Tak krzychał do mnie tym szeptem...

Czekający na Napoleona nie wierzyli w księżyc i gwiazdy, nie wierzyli w ziemię — jedyne były prawdziwe to ludzie — ściślej — ludzie o wielkiej aktywności i energii, ściślej Napo-

NAPOLEON

leon. My, czekający, jesteśmy tylko jakąś możliwością istnienia, z tej możliwości istnienia do bytu prawdziwego przeniesie nas Napoleon...

Kto z Was pamięta film „Jego wielka miłość”, film ze Stefanem Jaraczem, film o czymś,

co stawało się człowiekiem dzięki ustawicznemu przeżywaniu Napoleona.

Czy Napoleon był masonem? (Brat z Ajaccio, Rycerz Kadosz 30 stopień wtajemniczenia). W której łóż spotykał się z królem Prus i carem Aleksandrem. Dlaczego z nim walczył? Dlaczego Napoleon znosił inkwizycję, dawał chłopom wolność, dawał ludowi godność? Dlaczego królom tak wytrwale go zwalczała. Dlaczego lud wielił Napoleona, nawet gdy Napoleon wiodł lud do zguby, niszcząc wszelkie przedmiotowe podstawy trwania społeczeństwa, a pozostawiając tylko duchowe.

Wielu pisało o Napoleonie z nienawiścią, wielu pragnęło go tym pisaniem zniszczyć. Napoleona utrwałała nienawiść również jak miłość.

My teraz mało mówimy, mało piszemy, mało myślimy o Napoleonie... Niedobrze, czy też do-

brze? Napoleon rośnie w zgiełku, Napoleon rośnie w ciszy. Skąd taki bezmiar uczuć, gdzie jego źródła, gdzie granice? Napoleon oparł się pamięci i zapomnieniu, grotesce i apoteozie, nienawiść zmieniała się w afirmację. Cisza o Napoleonie? — Będzie jeszcze głośnie... Dlaczego ci, którzy mówią o Napoleonie z niechęcią, jednocześnie każdego, kto ośmieli się z nim porównać, uważają za obłąkanego.

Współczesny racjonalista uśmiecha się pobłażliwie, a ja jestem pewien, że gdyby znalazł miejsce dostatecznie samotne, osłagałby w tym miejscu pełnię swego bytu, krzycząc z maksymalnym wyzwoleniem: „Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarz!”

BERNARD SZTAJNERT